Nr. 62. Lwów, Niedziela dnia 3. Listopada 1878 r. **Tom VII.**



ROK V.

PRENUMERATA we LWOWIE
Rocznie 14 złr. półrocznie 7 złr. kwartalnie 3 złr. 50 cnt.
PRENUMERATA na PROWINCYI:
We wszystkich księgarniach i urzędach pocztowych: rocznie 17 złr. 60 cnt. półrocznie 8 złr. 80 cnt. kwartalnie 4 złr. 49 cnt.

REDAKCYA i ADMINISTRACYA:
KSIĘGARNIA POLSKA.
L. 14 plac halicki.

Dla W. Ks. POZNAŃSKIEGO główny skład w księgarni J. K. Żupańskiego w POZNANIU. PRENUMERATA w POZNANIU: Kwartalnie 7 m. z przesyłką 8 m. 50 f.
We Francyi, Anglii, Ameryce itd. kwartalnie 10 franków.
W Krakowie skład główny w Księgarni S. A. Krzyżanowskiego.

JAN ŁASKI

ARCYBISKUP GNIEZNIENSKI

SPRZYMIERZEŃCEM SUŁTANA TURECKIEGO.

SZKIC HISTORYCZNY

przez

DRA ALEKSANDRA HIRSHBERGA.

Postać arcybiskupa Łaskiego, oprócz niepospolitego zajęcia, jakie wzbudza potężną swą osobistością i rozległym zakresem prac swych i swojego wpływu, zarazem pewien niezwykły posiada urok: pewna aureola tragiczności otacza go szczególniej w dwóch ostatnich dziesiątkach lat jego żywota, poświęconych jednej idei wyniesienia swojego rodu. Cel ten w owych czasach przyświecał mu nieustannie, zniewalał do rozlicznych usiłowań, podejmowanych z podziwienia godną wytrwałością. Praca usilna nad spełnieniem tej myśli przewodniej, a w końcu głębokie upokorzenie w skutek błędów, równocześnie popełnionych — oto główne rysy owej tragiczności, tak dziwnie odróżniającej go od ogółu współczesnych.

W poprzedniem swem życiu nierównie szczęśliwszym był Łaski. Pełen zasług około ojczyzny kościoła polskiego, jakkolwiek w późniejszym dopiero wieku, jednak z pewną nawet łatwością doszedł do pierwszych zaszczytów w kraju: jako prymas był pierwszym w senacie, pierwszą w Polsce osobą po królu. Ale własne wyniesienie nie zaspokoiło jego ambitnych planów; zapragnął on wyniesienia swojego rodu, utrwalenia tej pozycyi socyalnej, jaką zajęli Łascy dzięki wysokiemu dostojeństwu i niezwykłym zdolnościom arcybiskupa. Ostatnich dwadzieścia lat jego życia prawie nieprzerwanem pasmem w tym celu podjętych usiłowań, niezawsze dokonywanych szczęśliwie, ale zawsze wywołujących całe zastępy potężnych nieprzyjaciół. Możni przeciwnicy Łaskiego pracowali nader usilnie nad podkopaniem jego wpływu, który też upadał coraz bardziej, w miarę wzrostu znaczenia i potęgi Tomickiego. Wreszcie w roku 1530 sprowadzają katastrofę awanturnicze plany Heronima Łaskiego. Arcybiskup udzielał mu swej pomocy, zapominając o swem dostojeństwie kościelnem, a wkrótce pod zagrożeniem klątwy ujrzał się powołanym przed sąd papieski jako „sprzymierzeniec heretyków i sułtana tureckiego."

W szkicu niniejszym będziemy się starali przedstawić ostatni ten ustęp z życia prymasa, w którym go widzimy w dziwnej kolizyi obowiązków względem kościoła i własnej rodziny. Dla zrozumienia zaś pobudek, działających wówczas w jego umyśle i genezy owej sytuacyi w tak wysokim stopniu tragicznej, musimy przedewszystkiem scharakteryzować jego poprzednie usiłowania i stosunek do przeciwnego mu stronnictwa.

Familia Łaskich, jakkolwiek już z końcem wieku XIV wyróżniła się z tłumu szlachty, nie należała jeszcze ani wówczas ani też w wieku XV do rodzin magnackich [1]) Najbardziej znanym z przodków prymasa jest Radlica, biskup krakowski († 1392). Brat biskupa, Wojciech ze Smarszewa, kasztelan lędzki, był według podania założycielem Łaska [2]), dla którego syn jego Jan, chorąży sieradzki, uzyskał nadanie prawa miejskiego [3]); on pierwszy też od tej miejscowości przybrał nazwisko, niebawem tak głośnej używające sławy.

Pierwsze podstawy do świetności rodu położył Jan Łaski, arcybiskup gnieźnieński [4]). Mąż ten niepospolitej dzielności charakteru, obdarzony rzadką bystrością umysłu i szczególnem uzdolnieniem do spraw politycznych, należy do najwybitniejszych postaci historycznych wieku XVI. Niezwykłym tym zdolnościom zawdzięczał Łaski swe wyniesienie. Jako sekretarz kanclerza Krzesława z Kurozwęk dał się poznać w senacie i na dworze królewskim i tak wielkie umiał sobie pozyskać zaufanie, iż w r. 1501, kiedy ani kanclerz ani podkanclerzy nie mógł towarzyszyć królowi udającemu się na Litwę, Łaskiego zamianowano ich zastępcą i ustanowiono dlań nową godność senatorską „pierwszego sekretarza królewskiego."

W dwa lata później otrzymał Łaski wielką pieczęć koronną i odtąd przez lat kilkanaście należał do najbardziej wpływowych osobistości w senacie. Jako jeden z pierwszych doradców królewskich położył wiele zasług około kraju, które coraz wyżej podnosiły jego powagę i znaczenie.

W roku 1510, zamianowany arcybiskupem gnieźnieńskim, stanął na czele kościoła polskiego, a zarazem zajął pierwsze miejsce w radzie królewskiej. Jako prymas bowiem nie tylko był najwyższym w Polsce dostojnikiem duchownym, ale nadto także pierwszym senatorem; prócz tego posiadał cały szereg przywilejów, które szczególne, wyjątkowe niemal nadawały mu stanowisko.

Wysokiemu dostojeństwu arcypiskupa nie brak było także blasku zewnętrznego: dwór jego urządzony był na wzór dworu królewskiego, a olbrzymie dochody arcybiskupstwa niemniej dodawały wpływu i świetności.

Od tej chwili przez czas dłuższy był Łaski pierwszą po królu osobą w Polsce, tem bardziej, że nie ustając w usługach dla sprawy publicznej, działalność swą w najrozmaitszych objawiał kierunkach.

W trzy lata później powierzono mu ważną i trudną misyą obrony na soborze lateraneńskim praw polskich przeciw uroszczeniom Zakonu niemieckiego. Tutaj uzyskał Łaski tytuł legata Stolicy apostolskiej i zapewne otrzymałby także godność kardynalską, gdyby się przeciw temu

[1]) O pochodzeniu Łaskich bardzo dziwaczne podał wiadomości M. Malinowski w wstępie do dzieła „Stanisława Łaskiego Prace naukowe i dyplomatyczne" (str. XII — XVI). Właściwą ich wartość historyczną staraliśmy się wykazać w „Spominkach o Łaskich" (Monum. Pol. hist t. III. w przypisku na str. 264).

[2]) Tamże, str. 264.

[3]) Cod. dipl. Pol. T. I. Nr. CL XIX.

[4]) Por. H. Zeisberg, Joh. Łaski u. sein Testament.

sam król Zygmunt nie oświadczył, z powodu niechęci, jaką tego rodzaju odznaczenie mogło wywołać u innych senatorów stanu duchownego. Jakkolwiek pod tym względem ujrzał się arcybiskup zawiedzionym w swych nadziejach, to jednak niewątpliwie zadowolony był z rezultatów swej podróży: pomyślne wywiązanie się z powierzonego zadania i tytuł legata papieskiego nowego dodały mu blasku i znaczenia. Łaski stał wówczas na szczycie swej potęgi, lecz właśnie w owych czasach wywołał przeciw sobie dwóch niebezpiecznych nieprzyjaciół, których nieustannym zabiegom w końcu udało się podkopać jego wpływowe stanowisko.

Podczas pobytu arcybiskupa w Rzymie opróżnione zostało biskupstwo przemyskie. Zygmunt postanowił nadać je Tomickiemu, a nadto utrzymać go przy dotychczasowych beneficyach z powodu szczupłych dochodów tegoż biskupstwa, Łaski zaś chciał część ich wyjednać dla znanego historyka Wapowskiego, którym się od dawna opiekował. Życzliwość swą dla niego miał posunąć do tego stopnia, iż dla zapewnienia mu zwycięstwa nie wahał się nawet użyć podstępu. Kiedy przybyły do Rzymu listy królewskie w sprawie Tomickiego, miał je zatrzymać u siebie przez cały miesiąc, a tymczasem wyjednał sobie Wapowski u papieża część beneficyów Tomickiego, t. j. kantoryą i kanonią gnieznieńską. Atoli za powtórnem wdaniem się w tę sprawę samego Zygmunta rozwiały się wszelkie pod tym względem nadzieje Wapowskiego. Jedynem zaś następstwem tych zabiegów i poparcia, udzielonego im przez arcybiskupa, była zawzięta odtąd ku niemu nieprzyjaźń Tomickiego i jego stronników. Antagonizm ten biskupa przemyskiego tem większej nabierał wagi, że był to człowiek zdolny i pełen ambicyi i że wkrótce potem został podkanclerzym, a jako taki nader ważne stanowisko zajął u dworu.

Niechęć podkanclerzego udzieliła się także jego stronnikom. Najbardziej odznaczał się pod tym względem znany z dowcipu i złośliwości siostrzeniec Tomickiego Krzycki, poeta niemałej podówczas używający sławy, który żadnej prawie nie zaniedbywał sposobności, aby Łaskiego jak najbardziej ośmieszyć i postępowanie jego w jak najgorszem przedstawić świetle.

Zarzuty czynione arcybiskupowi tem większą miały doniosłość, iż do pewnego stopnia nie brak im było słusznej podstawy. W postępowaniu bowiem prymasa nie trudno było o powody do skarg sprawiedliwych, gdyż Łaski, mając nieustannie na oku wyniesienie swojej rodziny, korzystał w tym celu z swych rozległych stosunków i wpływowego stanowiska, niekiedy nawet z ujmą dla sprawy publicznej lub przynajmniej kleru polskiego. I tak podczas pobytu w Rzymie uzyskał dla siebie i swych krewnych kilka dekretów papieskich, wydanych ze szkodą duchowieństwa dyecezyi gnieznieńskiej i krakowskiej. Wiadomość o tem najgorsze w Polsce zrobiła wrażenie, a ponieważ obawiano się dalszych tego rodzaju zabiegów, udał się synod, zebrany właśnie wówczas w Łęczycy, z prośbą do króla, aby zapobiegł na przyszłość podobnemu działaniu arcybiskupa [1]).

Jak w tym, tak i w innych wypadkach, zajmując się sprawami publicznemi, nie zapominał Łaski o interesach swej rodziny i swoich stronników. Tak n. p. wyjeżdżając w roku 1516 jako poseł królewski do Węgier, wziął ze sobą na własną rękę dwóch przyjaciół swojego domu, aby im tam wyjednać opiekę nad młodym królem Ludwikiem [1]) i zapewnić w ten sposób pozycyą nader wpływową i korzystną.

Najwięcej zarzutów ściągał na siebie arcybiskup działaniem na korzyść swej najbliższej rodziny, która rzeczywiście nieustannym była celem jego najgorliwszych starań i zabiegów. Brat prymasa Jarosław, wojewoda sieradzki — według własnych słów arcybiskupa [2]) — jemu zawdzięczał godność senatorską i dość znaczne pomnożenie swojego majątku. Synów i córki wojewody wychowywał Łaski swoim kosztem, córki powydawał za mąż i wyposażył [3]). Najbardziej kosztownem było wychowanie trzech synowców prymasa, a przedewszystkiem dalekie ich podróże. Wydatki te musiały ogromne pochłaniać sumy, skoro arcybiskup pomimo niepospolitych dochodów w częstych bywał kłopotach pieniężnych, a nawet w r. 1519 chciał wypuścić w dzierżawę dobra skierniewskie i łęgonickie, będące własnością arcybiskupstwa. Plan ten nie udał się jednak, gdyż kapituła gnieznieńska odmówiła mu na to swojego zezwolenia, a nadto wezwała, „aby oszczędniejsze prowadził życie, unikał zbytecznych wydatków i krewnych swych nie wzbogacał dochodami kościoła“ [4]).

Oto najcięższe zarzuty, jakie można było uczynić Łaskiemu. Jakże daleko odbiegli od tego jego przeciwnicy! Każde ich wystąpienie przeciw arcybiskupowi cechuje namiętna nieprzyjaźń, a częstokroć złośliwość, objawiająca się w miotaniu ohydnych potwarzy. Prawdziwie oburzające jest postępowanie pod tym względem Krzyckiego, człowieka chciwego sławy i wyniesienia, a zarazem pełnego zawiści względem szczęśliwszych współzawodników — jak go trafnie naszem zdaniem scharakteryzował znany z nieposzlakowanej prawości Stanisław Górski, a nadto stronnik Tomickiego [5]). W ślepej swej nienawiści do prymasa dochodzi Krzycki do zarzutów, które mogą być tylko miarą jego własnej niechęci i uprzedzenia. Szczególniej w słynnych jego „Epigrammatach“ objawia się ta szalona zaciekłość w sposób prawdziwie potworny. Kilka przykładów wystarczy na poparcie tego twierdzenia. I tak zarzucał Krzycki Łaskiemu, że tylko podstępem i chytrością zajął swe wysokie stanowisko, że uczciwych prześladował, a popierał złych i przewrotnych, wzniecał niezgodę i zamieszki, że był sprawcą wszelkiego złego w Polsce! Co więcej, nie wahał się go nazywać kłamcą, hipokrytą, zdziercą i oszustem, hańbą i zgubą kraju, a nawet zdrajcą króla i ojczyzny [6])!

(C. d. n.)

[1]) Zeissberg. tamże str. 29—33.

[1]) Tamże, str. 40.

[2]) Testam. k. 26b.

[3]) Tamże.

[4]) Ks. J. Walkowski w „Wspomnieniach o kościele metrop. w Gnieznie“ (str. 225), na podstawie współczesnej zapiski w „Liber decretor. Capit. gnezn.“ — Tę samę wiadomość podaje, także Damalewicz w „Series archiepiscop. Gnezn. (Varsav. 1649) p. 282. — Por. Czacki, O litews. i pols. prawach (Warsz. 1800) str. 30.

[5]) W życiorysie Krzyckiego, umieszczonym na czele zbioru jego poezyj. Rps. Bibl. Ossol. 158.

[6]) Poemata Andr. Cricii. Rpsy Bibl. Ossol. 158. str. 101, 118—121 i 2,447, str. 18a.

ZA WINY NIEPOPEŁNIONE.

POWIEŚĆ

przez

MICHAŁA BAŁUCKIEGO.

(Dokończenie).

XV.

Jak liszki Samsonowe rozbiegłszy się po polach rozniosły pożar szeroko, tak towarzystwo kąpielowe rozjechawszy się w różne strony rozniosło wszędzie skandaliczne wieści o wypadkach, w których Jan odgrywał tak smutną rolę. Rozumie się, że historyą tę przekształcono do niepoznania, zrobiono z niej coś w rodzaju tajemnic Paryża, a starego Leszczyca pomięszano z Grünwaldem i zrobiono z niego naczelnika jakiejś tajemnie zorganizowanej bandy rabusiów. Wieści te rozszerzały się tak szybko, że zanim ojciec z synem wrócili do domu, już one ich tam wyprzedziły. Można sobie wyobrazić jak ich przyjęto; szanowni obywatele miasta nie mieli dosyć słów na wyrażenie swego oburzenia, że znosili dotąd w pośród siebie ludzi podobnych. Rodzina burmistrza trzymała prym w tym ogólnym chórze potępienia, w którym dominował także seraficki sopran panny Zenobii. Za jej świątobliwem staraniem stało się, że stary Leszczyc utracił posadę w klasztorze i coprędzej wynosić mu się ztamtąd kazano, by nie bezcześcił obecnością swoją czystych murów klasztornych.

Ponieważ na prędce nie można było znaleść w mieście innego schronienia, więc prześladowana rodzina schroniła się tymczasowo do domku za klasztorem, który niegdyś zajmowała żydówka, a który od czasu uwięzienia jej stał pustką. Można się domyśleć jak przykrem i upokarzającem było dla rodziny Leszczyców wprowadzanie się do domu osławionego jako kryjówka złodziejska, w obec opinii, jakiej teraz w mieście używali, było to niejako przyznanie się do wspólnictwa z poprzednimi mieszkańcami. Dla Jana pobyt w tym domu był tem boleśniejszy, że go tu prześladowały wspomnienia Amelii i mimowoli nasuwały się porównania położenia ich obojga. Przypominał sobie z jaką wyniosłą dumą odwrócił się od niej w chwili, gdy się dowiedział, że jest córką złodzieja, a teraz jakby na ukaranie go za tę dumę los porównał go z nią, przynajmniej w oczach świata. Ta wspólność położenia zamiast zbliżyć serce jego ku Amelii, napawała go raczej wstrętem i uczuciem podobnem, jakie ma człowiek ułomny, gdy zobaczy w sąsiedztwie swojem drugiego garbuska. Ta wspólność nie zbliża ich, ale rozdziela, bo on w tym drugim nienawidzi własną ułomność i wstydzi się jej. Może gdyby z tego zarzutu, jaki zrobił Adolf jemu i ojcu, mogli byli całkiem się oczyścić i wyjść z honorem, łatwiej by mu przyszło oswoić się z myślą połączenia się z Amelią; ale będąc sam pod zarzutem, radby był jak najdalej odsunąć się od niej, bał się najmniejszych pozorów, któreby go podać mogły w podejrzenie jakiegokolwiek wspólnictwa z żydowską rodziną. Nawet myśli swoje chciał oczyścić z tych wspomnień natrętnych, i zamiast oddawać się rozpamiętywaniom przeszłości, całą uwagę

swoją, wszystkie pragnienia i myśli skierował ku przyszłości, w której wielkie, ambitne zakreślił sobie plany. Jeżeli dawniej marzył zawsze o wywalczeniu sobie świetnego losu, to teraz pragnienie to wzrosło podsycane żądzą odwetu, zemsty. Chciał wzniesieniem swojem upokorzyć tych, którzy dziś pogardzali nim i ojcem jego, chciał nazwisku zhańbionemu w aktach kryminalnych, przywrócić świetność i nadać znaczenie swojemi zasługami i stanowiskiem. I nie wątpił, że pracą, żelazną wytrwałością i nauką swoją zdobędzie sobie to stanowisko, że przyjdzie tą drogą do takiego majątku, do jakiego Naderman doszedł nieuczciwością i ślepem szczęściem. Miał to więc być rodzaj zapasów o lepsze z człowiekiem, który jego rodzinę skrzywdził i zepchnął na dno poniżenia i hańby; chciał wyróść po nad głowę temu człowiekowi i wierzył mocno, że jeżeli świat ten nie jest igraszką przypadku, jeżeli nad czynami ludzkiemi ważą się gdzieś niewidzialne w błękitach szale sprawiedliwości, to doczekać się musi upadku bankiera i strasznej jakiejś kary na niego.

Te nadzieje dodawały mu siły do znoszenia obecnego położenia. Nie były to nadzieje marzyciela, miały one podstawę swoją i niezadługo miał stanąć na czele pierwszej fabryki spółki naftowej, miał należeć sam do niej jako wspólnik; wiedział jak kolosalne fortuny robili ludzie przy podobnych odkryciach; nic więc było niepodobnego, żeby wnet przyszedł do wielkiego majątku. Ale on nie na tem tylko budował nadzieje swoje, nie opierał ich na przypadku, szczęściu, nie wykluczał wprawdzie możebności szczęśliwego odkrycia, chciał jednak inną drogą, pewniejszą, bogacić siebie i swoich wspólników, a mianowicie postawieniem fabryki na takim stopniu, aby oprócz rafineryi, można otrzymywać i inne produkta, jakie z nafty wydobyć można, jako to: farby anilinowe, wosk, itd.

Z niecierpliwością oczekiwał listu, który miał go ostatecznie zawiadomić o przyjęciu jego warunków; list ten miał być dla niego rodzajem balonu, z pomocą którego miał się wznieść w górę z tej przepaści, w jaką strącono jego i rodzinę jego za winy niepopełnione. To też można sobie wyobrazić, co się działo w jego duszy, kiedy odebrał ten list a w liście wyczytał, że rada nadzorcza nie przyjęła jego warunków. Cały gmach szczęścia wzniesiony w myślach runął mu na głowę. Nie trudno mu było domyśleć się, dlaczego zerwano z nim układy. Powód był ten sam, który i jego ojca pozbawił utrzymania. Boleść Jana była tem straszniejsza, że nie podzielona; starych rodziców nie miał odwagi martwić tą wiadomością, która i ich nadzieje w proch rozerwała, a z aptekarzem nie chciał mówić o tem; bał się, że pocieszając go będzie mu radził otworzenie mydlarni w miasteczku. Nic więc nie mówiąc nikomu, sam w sobie gryzł się i dręczył. Gorycz i rozpacz jak rak toczyły mu duszę. Do tego jeszcze trzeba było, że raz na stacyi kolei, gdzie poszedł ot tak dla zabicia czasu, rozerwania się, oszołomienia, wpadł mu w rękę jakiś numer „nowej pressy“ zostawiony prawdopodobnie przez którego z podróżnych; przerzucając go machinalnie zatrzymał się nagle oczami na nazwisku dobrze mu znanem, *Naderman;* przeczytał cały artykuł, w którym dostrzegł to nazwisko i dowiedział się, że parę tygodni temu w kościele ojców Trynitarzy w Wiedniu odbył się obrzęd ślubny Julii Naderman, *dziedziczki znakomitej fortuny i zacnego nazwiska* z baronem Lichockim. Czytając ten artykuł, doznawał takiego uczucia, jakby mu kto serce chwytał rozpalonemi kleszczami i rwał w kawały. Nie szło mu wcale o Julią, wspomnienie o niej teraz było mu obojętne, a nawet wstrętne; jeno te pochwały oddawane publicznie zacnemu nazwisku, burzyły w nim żółć. Wyglądało to jakby na urągowisko, że wtedy kiedy ojciec jego stracił szacunek u ludzi, utrzymanie i zagrożony był nędzą na stare lata, ten, przez którego on tyle cierpiał, doznaje ogólnego szacunku, zajmuje świetne stanowisko i jest panem wielkiej fortuny. Ta niecierpliwość losu deptała i niweczyła w nim wszystkie pojęcia o szlachetności, uczciwości, cnocie, zaczął wątpić we wszystko, plwać na wszystko i złorzeczyć wszystkiemu.

Gdyby ta szalona burza, co kipiała w nim, mogła wydostać się na zewnątrz potokiem słów, bodaj nawet przekleństw i bluźnierstw, łatwiej by mu było może przetrzymać ją; ale on milczał, wrząca krew wyrabiała pod tą szczelną pokrywą milczenia żółć, truciznę i sączyła ją powoli w mózg, w serce. Rodzice zauważyli tylko, że pomizerniał i pożółkł trochę, przypisywali to brakowi ruchu, katarowi żołądka, bo nie znali istotnej przyczyny. Aż jednego wieczora jesiennego, kiedy właśnie staruszkowie zabierali się do odpoczynku, weszli jacyś obcy ludzie niosąc na rękach ich syna bez zmysłów. Znaleziono go w takim stanie nad brzegiem rzeki. Czy pobiegł tam w zamiarze samobójczym, czy też poprostu wyszedł błąkać się nad rzeką gnany przykremi myślami, trudno było dociec. On sam nie mógł dać żadnego wyjaśnienia, bo leżał bez przytomności, skostniały i blady. Nacierano go octami, wodą i otworzył wreszcie oczy; ale nie poznawał nikogo i bełkotał coś bez związku zrywając się i szarpiąc odzienie na sobie. Wezwany lekarz po zbadaniu go orzekł, że jest to choroba skomplikowana i w istocie po kilku dniach pokazał się równocześnie tyfus, żółtaczka i zapalenie płuc; zdawało się, że te złe potęgi, które niszczyły mu ducha, przyoblekły się w widome kształty chorób, aby niszczyć teraz organizm, burza ze świata myśli przeszła w ciało.

Właśnie kiedy chory znajdował się w najniebezpieczniejszem wysileniu się tych chorób, zjawiła się Amelia. Przybyła bardzo w porę, bo stara Leszczycowa upadała już ze znużenia i bezsenności, siły nie dopisywały staruszce, gdy jej przyszło dzień i noc pielęgnować syna, moralnie i fizycznie była już przygnębioną. Przybycie Ameli dodało jej sił i nadziei, bo uważała ją niejako za dobrego ducha, za Anioła stróża swej rodziny, z którego powrotem wszystko odmieni się na lepsze. To też przyjęła ją jak córkę. Nie mówiły wiele przy powitaniu; cichym płaczem tylko staruszka ulżyła trochę boleści swojej, i rzekła wskazując na syna:

— Patrz! jakie nieszczęście, Bóg nas tak dotknął. Czy wiedziałaś o tem.

— Wiedziałam — odrzekła Amelia wpatrując się zadziwionemi oczami w Jana, który leżał z twarzą rozpaloną gorączką i patrząc w sufit mówił coś szybko i niewyraźnie. Nie poznał jej wcale. Nie wybuchnęła głośnym płaczem. Nie łamała rąk, nie mdlała na ten widok, jeno twarz jej pobladła tak, że zdawało się kropelki krwi w niej nie zostało, a czarne brwi zbiegły się ku sobie i czoło pogięło się w bolesne załomy, świadcząc o niezmiernem cierpieniu duszy, nad którem starała się zapanować. Zrzuciła z siebie podróżne ubranie i poszła pomagać Leszczycowej przy wykręcaniu kompresów, któremi okładano głowę chorego.

— Zostaniesz tu z nami, prawda? — spytała staruszka.

— Zostanę — odrzekła głosem takim, jakby przysięgała na całą wieczność.

Niezadługo zjawił się także aptekarz. Był to jedyny człowiek w tem mieście, który nie opuścił Leszczyców w przykrem położeniu, bo nawet panna Zenobia, która należała do towarzystwa pielęgnowania chorych i wspierania ubogich, nie poczuła się tutaj do żadnych obowiązków ze względu, że rodzina ta okazała w wielu wypadkach nadzwyczajną obojętność w rzeczach wiary, a, tem samem według jej zapatrywań nie zasługiwała na litość prawdziwie katolickiej niewiasty. Aptekarz drwiąc po swojemu z litości tej prawdziwie katolickiej niewiasty proponował jej, żeby nieszczęśliwą rodzinę traktowała nie jako ludzi, ale poprostu jako stworzenie boskie i jako należąca do stowarzyszenia ochrony zwierząt, będzie im mogła bez skrupułu udzielać pomocy. Za taką radę dostał klapsa od panny Zenobii i nazwę heretyka.

Otóż gdyby nie ten heretyk, Leszczycowie pozbawieni teraz całkiem utrzymania, byliby cierpieli wielką nędzę. On dawał za darmo lekarstwa, on płacił lekarza, on wspierał ich pieniądzmi i to w sposób tak nieupokarzający i delikatny, o jaki trudnoby go było nawet posądzić przy jego pozornej szorstkości. A mianowicie wyszukał dla Leszczyca, który teraz był bez zajęcia, robotę bardzo korzystną, tłómaczenie jego podróży po Kaukazie na język niemiecki i dawał mu za to zapłatę, która prawie wyrównywała pensyi, jaką pobierał w klasztorze; to znowu namówił go do kupienia jakiegoś losu, za który wygranę przyniósł mu po paru tygodniach w kwocie kilkudziesięciu reńskich. Doktora płacił w sekrecie a przed Leszczycami chwalił jego bezinteresowność. I nie ograniczał się tylko na materyalnej pomocy, ale pocieszał starych zrozpaczonych chorobą syna i dodawał im odwagi. Rozumie się, robił to po swojemu, nie używał miodowych słów, stereotypowych frazesów o miłosierdziu bożem, ale wyśmiewał ich obawy, nieraz i ofuknął starych za to i beształ ich, że syna uważają za takie chucherko, które lada choroba zmieść może ze świata. Mówił to może wbrew prawdzie, bo doktor pod sekretem zwierzył mu się, że choroba jest tak skomplikowaną, iż wątpi, aby chory mógł z niej wyjść; ale aptekarz nie wiele przykładał wiary do zdolności doktora i w ogóle do całej medycyny, więcej wierzył w silny organizm chorego, w jego dwadzieścia trzy lat i nie tracił nadziei. Teraz z przybyciem Amelii wiara jego wzmogła się jeszcze bardziej, bo do pomocy przybywał jeszcze jeden czynnik: miłość, a on choć naturalista, nie przeczył wpływom moralnym na organizm, zwłaszcza, że u Jana choroba wzięła początek

z moralnych pobudek. Miał tedy nadzieję, że obecność osoby, dla której Jan żywił zawsze głębokie uczucie, zbawiennie wpłynie na przebieg choroby i dlatego twarz mu się rozjaśniła, kiedy wszedłszy zobaczył Amelię przy łóżku chorego.

— Otóż mamy nową armią do pokonania i odparcia choroby — rzekł z humorem chcąc rozjaśnić trochę zafrasowane oblicza kobiet. — Stara armia dodał zwracając się do Leszczycowej — będzie mogła wypocząć dzisiaj, a my z panią będziemy tej nocy wartę trzymali przy chorym.

Powiedział to z umyslu, aby naklonić Leszczycowę do udania się na spoczynek, wiedział bowiem od doktora, że ta noc będzie decydującą, chciał więc staruszce oszczędzić boleści, gdyby choroba zły koniec mieć miała. Leszczycowa nie bardzo dała się namawiać na to, była tak znużoną, bezsilną, że z trudnością mogła się utrzymać na nogach, a powieki co chwila opadały na senne oczy. To też zaledwie się położyła, usnęła mocno, że nawet krzyki syna, który od czasu do czasu zrywał się i pasował z jakiemiś niewidzialnemi potęgami, nie zdołały ją obudzić. Stary Leszczyc już pierwej zapadł był w podobny sen ciężki.

Przy chorym został na straży aptekarz i Amelia; oboje siedzieli nie mówiąc nic do siebie, wstając ile razy chory potrzebował ich pomocy. Wśród tej ciszy slychać było świst jesiennego wichru, który zrywał w ogrodzie ostatnie liście i rzucał je na szyby okien. Kolatania tych uschłych liści straszyły Amelię, z trwogą poglądała w okno, na którego ramach kilka żółtych liści zaczepiło się i zdawały się ciekawie, złowrogo zaglądać do izby z ciemności.

Chory leżał spokojnie ciężko oddychając, czasami tylko machał rękami w powietrzu, jakby bronił się i groził. Kiedy Amelia odmieniała mu okład na głowie, chwycił ją za rękę, i wpatrzył się w nią dziko nieprzytomnemi oczami, potem zaczął odsuwać okład i rękę i mówił z wzrastającem rozdrażnieniem:

— Dalila, precz, precz, wiem, chcesz mnie pozbawić włosów, odjąć mi siłę, ale ja nie pozwolę, nie dam. Ja potrzebuję Samsonowej siły, aby wstrząsnąć filary ich pałaców i zasypać gruzami tych łotrów biesiadujących w złocistych komnatach, naśmiewających się z nędzarzy, co cierpią przez nich. Tak, tak, mnie Bóg wybrał, dał mi siłę, jak miecz, abym się mścił za tych, co cierpią nie za swoje winy. Muszę to zrobić, muszę, bo inaczej gotowi zwątpić w sprawiedliwość Bożą, gotowi uwierzyć, że nie ma Boga. Jest Bóg, jest wieczność, jest sprawiedliwość!

Wołał głosem podniesionym podobnym do dzwonu jęczącego na wieży.

— Jest Bóg — powtarzał — patrzcie, on posłał Anioła mściciela z mieczem ognistym. Nie bluźnijcie, bo on idzie do was, nieszczęśliwi, upokorzeni, pokrzywdzeni, radujcie się.

Mówiąc to a raczej wykrzykując z pełnej piersi podniósł rękę do góry i zerwał się z łóżka usiłując wyjść. Aptekarz przyskoczył i zatrzymał go.

— Ktoś ty? — pytał chory wpatrując się w niego sztywnym wzrokiem — co śmiesz stawać w poprzek dróg moich i przeszkadzasz sprawiedliwości. Tyś szatan, prawda? chcesz bronić tych, których nieprawości uczyniły sługami twoimi. Próżno! ramię Boga silniejsze jest, on zepchnie w czeluście piekielne ich i ciebie. Precz!

I znowu usiłował powstać i pasował się gwałtownie z aptekarzem, który całej siły używać musiał, aby go powstrzymać. Amelia także jakkolwiek cała zcierpnięta z bolu, rękami zimnemi jak lód, przytrzymywała głowę szamoczącego się.

— Ha szatany — wołał chory — nie puszczacie mnie, krępujecie, chcecie koniecznie aby świat uwierzył, że nie ma Boga, nie ma sprawiedliwości. Och!

Zerwał się raz jeszcze z rozpacznem wysileniem, potem opadł zbezsilniony na poduszki, piersi pracowały jeszcze gwałtownym oddechem i usta bełkotały jakieś niewyraźne słowa. Mówił coraz ciszej, znużenie ubezwladniało wszystkie czlonki, powieki zasunęły się na oczy, usnął.

— No, zdaje się, że najgorsze minęło — odezwał się po cichu aptekarz patrząc troskliwie na śpiącego.

Amelia uklękła przy łóżku i płacząc z radości odmawiała modlitwy, prosząc Boga żeby to było prawdą.

Sen chorego trwał parę godzin; kiedy się z niego przebudził, wzrok jego zatrzymał się najprzód na aptekarzu, który siedział w nogach przy łóżku. Uśmiechnął się do niego przyjaźnie i rzekł słabym głosem:

— A pan tu co robisz?

— Przyszedłem odwiedzić pana, byłeś trochę słaby.

— Słaby? A tak, przypominam sobie, tam nad rzeką, zrobiło mi się nie dobrze, jakiś dziwny ból tu w głowie, jakby mi kto rozpaloną kulę ołowianą włożył w mózg. Ale teraz mi już dobrze, tak dobrze, lekko.

Odetchnął swobodnie i przymknął oczy, jakby rozkoszował się tem polepszeniem zdrowia. Po chwili znowu otworzył oczy i spytał:

— Gdzie matka, ojciec?

— Śpią, tam w drugim pokoju.

— Może nie wiedzą o tem, że byłem słaby; lepiej, zasmuciliby się, oni mnie tak kochają. Biedni oni!

Westchnął i znowu zamilkł. Amelia, która siedziała za nim w głowach, podniosła się i pochyliwszy się ku niemu wpatrywała się z troskliwością w spokojną twarz jego. Rada by była rzucić mu się na piersi, przywitać z nim po tak długiej rozłące, a nie śmiała, nie była pewną czy widok jej nie sprawi mu przykrego wrażenia. Milczała więc i nawet oddech wstrzymała, by nie zdradzić swojej obecności, a kiedy chory znowu poruszył się, cofnęła głowę i po cichu usiadła na dawnem miejscu.

Aptekarz odgadł jej myśli i chciał chorego powoli przygotować do widzenia jej, czekał tylko sposobności, by zacząć z nim mówić o tem; ale zanim miał czas rozpocząć w tym celu rozmowę, chory odezwał się do niego:

— Wiesz pan, miałem dziwny sen, śnił mi się Leon; ale nie w tej ułomnej postaci jaką nosił za życia, jeno wysmukły, piękny jak jego dusza. Byliśmy razem w jakimś teatrze; grano „Zbójców“ szyllerowskich. Właśnie skończył się akt czwarty, Franciszek Moor tryumfował, zbrodnia tryumfowała depcząc cnotę, uczciwość i wszystkie szlachetne uczucia. Publiczność była pewną, że to koniec sztuki i wychodziła niezadowolniona, oburzona takiem zakończeniem, a Leon uśmiechnął się do mnie tym śmiechem ironicznym, który miał za życia i rzekł do mnie: „Głupcy, szemrzą, gniewają się, bo nie wiedzą, że jest jeszcze akt piąty. I dużo jest takich — mówił mi dalej — którzy patrząc na powodzenie łotrów i zbrodniarzy oburzają się na sprawiedliwość Bożą, a nie wiedzą, że życie to jeszcze nie cały dramat, że brak aktu piątego długiego jak cała wieczność.“ I miał słuszność Leon, prawda? to jedno, że zbrodnia nie zawsze tu znajduje karę, jest najsilniejszym dowodem nieśmiertelności duszy; grób to kurtyna, która zasłania nam akt piąty.

Mówił te słowa z gorączkowym pośpiechem przestając od czasu do czasu zadyszany, by zaczerpnąć powietrza, bo oddech jego był krótki. Aptekarz bał się, żeby takie forsowne gadanie nie zaszkodziło mu i prosił go, żeby nie mówił więcej. Ale chory zżymnął się niecierpliwie i rzekł prędko:

— Nie przerywaj mi pan, ja muszę mówić bo on mi kazał. „Powiedz — mowił mu — powiedz na ziemi wszystkim, którzy cierpią niesprawiedliwie, że jest akt piąty, że jest Bóg - że jest wieczność — że jest sprawiedliwość.“

Głos jego cichy wzmógł się znowu i rozkołysał jak dzwon, a rozszerzone źrenice patrzały groźnie, aż od tego groźnego natężenia oczy stanęły słupem i twarz zesztywniała nieruchomo, jakby z gipsu odlana maska. — Chwilę dobrą trwało to kowulsyjne naprężenie twarzy. Amelia nie widziała tego, słyszała tylko, że umilkł nagle nie wiedząc dla czego; była pewna że odpoczywa zmęczony. Ale aptekarz, który siedział naprzeciw niego, zaniepokoił się tem bardzo i dopiero ochłonął z obawy, kiedy zobaczył ruch muszkułów na twarzy — podobny do ruchu topniejących lodów na rzece — życie zaczęło wracać i ożywiać rysy, a oczy przychodziły do przytomności.

— Co to jest? — spytał chory wodząc w koło wzrokiem, jakby sobie coś przypomnieć usiłował — czy ja to widziałem na jawie, czy mi się śniło? — Wszak teraz mamy jesień — prawda? —

— Tak. —

— A więc to był sen — sen podobny widzeniu; bo to było w zimie — śnieg pokrywał pola, drzewa, domy — w tem słowik zaczął cudownie nucić i śnieg myśląc, że to wiosna, zaczął tajać, — i drzewa zaczęły rozkwitać — i zrobiła się rzeczywiście wiosna — a ja uszczęśliwiony zachwycony poszedłem ku miejscu, zkąd słowicze śpiewanie wychodziło, i uczułem także wiosnę w sobie, a w śpiewie słowika poznałem jej głos — wiesz pan czyj? jej — Amelii. — I zamieniłem się także w słowika i polecieliśmy w błękit, w nieskończoność, przelatując z gwiazdy na gwiazdę. — Cudowny sen. — Biedna Amelja! — Czy nie wiesz pan co się z nią stało? — Gdzie jest teraz?

Amelja nie mogła zapanować nad wzruszeniem, które ją ogarnęło i popchnęło naprzód. Uklęknęła przy łóżku i biorąc za rękę chorego oblała ją łzami i pocałunkami.

— Ameljo! — wykrzyknął lekko chory obejmując ją spojrzeniem pełnem błogiego zachwytu — ty byłaś przy mnie tutaj — mój dobry

duchu, aniele stróżu — ty zawsze zjawiasz się tam, gdzie cierpią, choć sama cierpiałaś tak wiele. Nie gniewasz się na mnie? — spytał patrząc jej pokornie, błagalnie w oczy — o! ja zawiniłem bardzo przeciw tobie. — Ale teraz nierozłączymy się już więcej, będziemy już razem, jak te dwa słowiki, słyszałaś? — słyszałaś, com mówił o słowikach! — Prawda, cudowny sen; — tak z gwiazdy na gwiazdę po ym błękicie, co się wiecznością nazywa.

t — Ale, to nie ma sensu takie gadanie — odezwał się aptekarz oprysklliwie, to zdrowemu by zaszkodziło, a nie dopiero choremu. Panno Ameljo, jeżeli masz litość nad nim, zamknij mu usta, bo będzie do sądnego dnia gadał.

— Poczciwy, zacny przyjacielu — rzekł chory z pobłażliwym uśmiechem, wyciągając ku niemu rękę — ja tak jestem szczęśliwy, że nieumiałbym milczeć w tej chwili — milczenie zadusiłoby mnie — i tak mi jeszcze ciężko.

— To z gadania — ja mówiłem.

— Podnieście mnie trochę wyżej — tak, teraz trochę lepiej. — Podajcie mi wasze dłonie, — tak mi teraz dobrze — mówił trzymając ich za ręce — jak dobrze... Głos jego słabnął, cichnął, — jakby usypiał. Aptekarz z przerażeniem uczuł, że ręka jego stygnie; — dotknął pulsu i nie mógł domacać uderzeń — a na twarzy rozsiadały się już cienie i oczy traciły barwę.

— E! panie Janie, co pan wyrabiasz? — zawołał aptekarz głosem przerywanym łzami — i twarz jego dziwnie pokrzywiła się z boleści.

Jan spojrzał na niego przyjaźnie gasnącym wzrokiem i wyszeptał:

— Pamiętaj o moich starych. Powiedz ojcu, że jest akt — piąty.

Potem zwrócił się do Amelii, resztkami sił jakie mu zostały w ziębnących rękach, uścisnął jej rękę.

— Do widzenia — rzekł ledwie już dosłyszanym głosem, — uśmiechnął się do niej —. i z tym uśmiechem zastygnął.

W trzy dni potem przed domek na ulicy ogrodowej zajechał karawan. Wyniesiono z domu trumnę, a za nią wyszedł aptekarz prowadząc pod rękę matkę zmarłego. Amelja prowadziła ojca. — Staruszkowie potrzebowali podpory, bo i lata i boleść odjęły im wszelką siłę. Zkąd jej wzięła tyle Amelja — to zagadka serca kobiecego, które wsród największych cierpień umie zdobyć się na męczeńską odwagę. A może też ostatnie Jana „do widzenia" dodało jej tyle mocy.

Parę dziadów kościelnych i kilku ciekawych składało orszak pogrzebowy. Kiedy wchodzili w rynek, dźwięki muzyki rozlegały się po nim i jakieś wesołe okrzyki. — Pochodziły one od domu burmistrza, którego imieniny dziś miasto uroczyście obchodziło. Cechy z chorągwiami i radcy miasta poszli do jego mieszkania złożyć mu życzenia i dyplom honorowego obywatelstwa za zasługi położone dla dobra miasta i cnoty obywatelskie.

KONIEC.

STUDYA ESTETYCZNE.

przez

WOJCIECHA DZIEDUSZYCKIEGO.

(Ciąg dalszy.)

II.

I malarstwo w państwie kościelnem podobnie jak budownictwo wyszło z klasztoru i to późno. Na końcu piętnastego wieku zaczęli *Perugino* w Umbrii i *Francia* w Bononii malować dobrze podług klasztornych przepisów. Francia ustawiał w środku swego obrazu tron, a na nim Madonnę o przedługiej nieco twarzy i zbyt żywym rumieńcu, zyzooką niewiedzieć dla czego, z dzieckiem nagiem na ręku, a bez wyrazu. Przy niej z obu boków stawiał nagich świętych parami, sztywnie, wedle jakiejś niebieskiej etykiety wymyślonej przez mnichów Bononskich. Głowy świętych wyraziste, poważne, pojęte podług starodawnego cerkiewnego bizantyńskiego ideału. Sędziwy święty Petronyus, patron miasta, marsa stroi jak człowiek dziś święty, co znał grzech i pokutę i świat sądzić umie; świętej Katarzyny twarz szpiczasta i nudna prawie; święty Sebastyan młody i piękny a mężny w swem męczeństwie; Piotr to łysy rybak, co władnie kościołem, Paweł, wojownik Boży. Widać, że obrazy te malowano tam, gdzie Piotrowe klucze zamiast berła władły i wyglądają jak obrazy wyszłe w czasie odrodzenia z klasztoru męskiego. Odrodzenie kazało wybierać piękne twarze, malować silnemi barwami i wykonywać twarze, ręce i nagie ciała w szczegółach wszystkich wiernie i łudnie. A klasztor dał co innego — nakazał, by wszystko było ujęte żelaznym hieratycznym ładem, świętą etykietą nieruchomości, tak jakby zegar życia był stanął dla tych postaci. Widać, że żyły, czuły i cierpiały, ale skamieniały teraz jak ów mnich doskonały, co wedle przepisu Tomasza à Kempis wszelkie prawie uczucie w sobie zabije. Będzie miał ciało żyjące na pozór, lecz naprawdę żyć przestanie i w tem szczęśliwość znajdzie, tę, którą znalazły owe mnichów ideały, postacie Francii, złotnika pobożnego z mądrej Bononii.

A Perugino malował tak jak czują zakonnice. I w jego obrazkach niebieskiego szczęścia zamarły postacie, symetrycznie, etykietalnie ugrupowane; malowane może jeszcze lepiej jak przez Francię, ugrupowane wśród słonecznych krajobrazów pełnych wiecznej wiosny, nie znały nigdy walki życia, nigdy się ziemi stopą nie dotknęły; znać to już po ich ciałach, wątlejszych, dłuższych jak ciała żywe, po ciałach, które zdaje się lada wiatr w przestrzeń unieść zdoła; ale znać przedewszystkiem po wyrazach twarzy dziecinnych tam nawet, gdzie już siwy włos czoło męskie zdobi. Ideały to konwiktorek, wątłe, jakby kwiaty polne, i radość mistyczna młodej zakonnicy upojonej śpiewem i kadzidłem maluje się na świętych twarzach. Może najlepszy pod względem wykonania obraz Perugina znajduje się w sieni w kościele św. Augustyna, i ten obraz najlepiej znamionuje całe jego malowanie, i myśl, która w nim przebywała. Chrystus pośrodku zwisł na krzyżu, Matka Boska, święty Jan, Nikodem, Józef z Arymatei i święte niewiasty stanęli do koła i myślisz może, że rozlega się po płótnie całem krzyk boleści? Gdzie tam, i Chrystus i matka jego i święci tylko dewocyą zajęci, ulatują prawie do nieba na skrzydłach weselnej ekstatycznej modlitwy, wszystkich oczy wlepione w słoneczny błękit, wszystkich szyje dziwnie wyprężone. Człowiek patrząc na to, czuje, że to wszystko nieprawda, i dziwi się temu, że nietylko postawy ale i uczucia wszystkie podług jednego szablonu. Taki stan ekstatyczny nakazywano uczniom i uczennicom świętego Franciszka i oni do niego dójść nie mogli. Więc Perugino przynajmniej na płótnie urzeczywistnił, tu w okolicy Assyżu, ideał Franciszkański, tak jak Francia odtworzył twardszy ideał Dominikanów w Bononii, przy grobie ich patrona.

Szczęściem sztuka ta posiadająca od razu dziwnie staranną technikę nieobumarła w klasztorze i uczeń Perugina, Rafael, wyprowadził ją na świat żywy. Natura spokojna i szczęśliwa, która we wszystkiem na świecie piękno widziała, i zawsze w dziwnej a zdrowej zostawała równowadze, nie mogła zostać na pasku klasztornego rytuału i owiana duchem klasycznego odrodzenia musiała wypowiedzieć światu, że każda czynność ludzka piękną być może, byle szczerze była sobą.

Jeszcze nie wyszedł młodziutki Rafael ze szkoły swego nauczyciela i z cichego klasztornego zakątka, w którym tenże pracował, a już stworzył obraz, w którym przyszły duch wielkiego mistrza wystąpił w pierwszym brzasku. Mam na myśli poślubiny Przenajświętszej Panny, zwane przez Włochów Sponsalizio, a przechowywane w galeryi Brera w Medyolanie. Widzimy tu wielkie jeszcze postacie Perugina, ale w żywy lubo symetryczny ruch wprawione. Pośrodku stanął wesół a pilny starzec w pstrej szacie żydowskiego arcykapłana łączący ręce nowożeńców zawstydzonych. Marya, to Umbrejska dzieweczka w sukience o barwach gołębich, ze skromnie spuszczonemi oczyma; zarumieniła się cała i skromnie rękę podaje ulubieńcowi jasnowłosemu. I Józef choć brodaty, młody tu jeszcze, a otwarcie rad, i przyobleczony w draperye klasyczne zadziwiające wśród z włoska przebranego orszaku. Śliczne drużki stanęły ze strony Maryi i dalekie od zazdrości gdzieś o własnem marzą zamęściu. Młodziutcy drużbowie w opiętych włoskich szatach świat by piosnką radzi naprawili. Jeden z nich wypełnia jakiś dziwny zwyczaj ślubny, łamiąc z dziwnym wdziękiem laskę kolanem. Na drugim planie wspaniałe wschody wiodące do świątyni, w głębi stojącej wśród zielonego krajobrazu, po którym wśród wiosny przechadzają się jacyś Florentyńcy, a wszędzie jednakie wesele i wszędzie jednakie gołębie, a jednak prawdziwe barwy.

Przedmiot kościelny służy tu za pozór do cudnej czysto ludzkiej sceny. Chodziło młodemu uczniowi Perugina o to, aby ukazać ideał poślubin, podobnie jak Grekom chodziło o ideał ludzkiego ciała. Młodych tedy tylko sprowadził wśród wiosennej łąki w młodym orszaku i tylko księdza umieścił między nimi, a nie masz ani nudnych gości, ani zakłopotanych rodziców, ani przyborów, któremi świat otacza i dręczy nowożeńców. Dwoje młodych ślubuje sobie wieczne kochanie, w młodym orszaku na zielonej łące, a Bóg im błogosławi, oto treść obrazu i treść idealna zaślubin. Pomysł tedy już ze wszystkiem Rafaelowski. W wykonaniu tylko trwa niepewność. Szczegóły doskonale malowane, ale postacie zbyt długie, a malarz nie wie sam czy ma swoje postacie w obyczajowe czy idealne szaty przystroić. Wyrazy dobrze, prawdziwie i z wielką słodyczą uchwycone, ale postacie ustawione jeszcze z pewną nieśmiałością. I Rafael sam wiedział o tych przeszkodach i niedostatkach i chcąc kiedyś w zu-

pełnej czystości ideał ludzkiego życia przedstawić, postanowił pojechać do Florencyi na naukę.

I tu malował ciągle prawie matkę z dzieckiem, macierzyństwo, wielkie prawo, powszechne jak poślubiny, prawo, w którem się natura ludzka zawsze jawić musi, prawo wieczne jak świat i życie. Wszystkie te matki z dzieckiem nazywamy my i nazywał Rafael Madonami, i do tej nazwy nie powoduje nas sam zwyczaj ówczesny, ale przyczyna głębsza leżąca w istocie uczucia religijnego u oświeconych ale wierzących jeszcze społeczeństw. One pragnienia tęskne serca łączą z potrzebą rozumu; szukają oparcia u istoty wyższej, a w istocie owej szukają urzeczywistnienia ideału rozumowego, pojęcia wydobytego z tysiąca przedmiotów. U umysłów konsekwentnych i natur filozoficznych bogowie tracą charakter ludzki, kształt namacalny i ciało, gubią się gdzieś w mgłach metafizyki i nikną wreszcie w jedności Aleksandryńców i niemieckich filozofów, o której nic orzec nie można. Gdy sobie umysł narodu tę jedność wymarzył, ginie najpierw sztuka idealna, której niepodobna odtworzyć tą abstrakcyą i która się nie może mierzyć z najwyższym narodu ideałem, ginie potem uczucie religijne, dla którego nieopisana jedność zimną abstrakcyą i ginie wreszcie sama rozumowa wiara nie mogąca wciąż patrzyć w jeden niedostrzeżony matematyczny punkt i umysł, który chciał się zbić zbyt wysoko upada na tuzinkową ziemię, i by był (?) czas jakiś wśród realizmu i materyalizmu zmysłowego.

Za dni Rafaela drapał się już Giordano Bruno na ową zawrotną drabinę abstrakcyi, ale wyżyny ludzkości jeszcze nie poszły za nim. Choć już od dawna nie przypisywano ludzkiej postaci Bogu w niebie, wierzono powszechnie w to, że Bóg żył i na ziemi wśród świętego otoczenia, i rozum odrodzenia w Bogu tym szukał za ideałem człowieka, a w życiu jego i jego matki za ideałem życia i czynu.

Starożytność w chwili, w której wiara trwała jeszcze a wiedza już się budziła, doprowadziła rzeźbę do idealnego wykończenia, przedstawiając pojedyńczych bogów jako osamotniałe ideały ludzkie. I wiek szesnasty był podobną chwilą, ale jego wyobraźnia artystyczna nie mogła tworzyć mnogich pojedyńczych postaci bóstw, a natomiast mogła przedstawiać w ideale chwile główne ludzkiego życia, poślubiny, macierzyństwo i dziecinną pieszczotę, śmierć i pogrzeb, bo Bóg i Matka Jego przez to przeszli, podczas gdy się bogowie pogańscy obracali w kole zbyt fantastycznych i nieludzkich legend. Sztuką szesnastego wieku było tedy przedewszystkiem malarstwo, mogące przedstawić całe sceny z życia, a najkompletniejszym jej reprezentantem stał się Rafael. On bowiem jeden tylko, spokojny jakby stary Grek szukał ideału tylko, a szczęśliwszy od wszystkich innych artystów umiał odnaleźć czysty ideał we wszystkiem co ludzkie.

Ideału jednak nie znalazł od razu w całej pełni. Madonna del Cardinello w Trubunie i Madonna del Gran Duca w Palazzo Pitti nie są jeszcze ideałem matki. Zbyt młode to jeszcze dzieweczki, prawie dzieci z dziećmi na ręku, i czoła ich jeszcze wysokie nadto jakby mistyczną myślą trapione, i strój ich na poły chłopski i na poły zakonny. Pierwsza w szatach czerwonych siadła wśród łąki i dwom nagim chłopczykom podaje szczygiełka do zabawy, druga stanęła nieśmiało z dzieckiem w ręku. Słodycz Perugina błądzi jeszcze po tych twarzach i pogodzona z prawdą wyrazu nadaje całości dziwny wdzięk i dziewiczy urok. Ale wszędzie tu Rafael za wdziękiem szukał tyle, że nie odnalazł pełnego ideału i nie matki malował jedno starsze siostry, bawiące się z drobnem rodzeństwem, zawsze to rzecz cudna, to jakby pączek i obietnica macierzyństwa, ale to jeszcze nie pełny kwiat.

Czy jest już tym kwiatem Madonna w Palazzo Torigioni we Florencyi? Ciało jej jeszcze nadto wątłe, ale ideał kształtów dziewiczych już zrozumiany, barwa już doskonale ujęta pełną prawdą i pełnym świeci wdziękiem i już odtworzona każda linia normalna na ręku i twarzy ludzkiej tak, że złudzenie prawdy zupełne. Lekka zasłona ulata na plecach przenajświętszej, a dzieweczka już jak matka pochyliła się z pieszczotą nad cudnem śmiejącem się dzieckiem. Jeźli ci chodzi o mistyczną matkę dziewicę, o ową matkę, do której się modli pielgrzym, gdy Loretańską odmawia litanią, masz ją tu w Palazzo Torigioni, masz już wonny kwiat! Ale jeźli ci o pełny ideał matki chodzi, poczekaj jeszcze, a Rafael pokaże ci kiedyś ten ideał. (C. d. n.)

ORŻNĄŁEM ŻYDA.

HUMORESKA

przez

AUTORA „KŁOPOTÓW STAREGO KOMENDANTA“.

(*Dokończenie*).

— Słuchajno panie Goldgart — odzywa się po chwili — jesteś oszukaniec panie dobrodzieju.

— Co to jest oszukaniec? — rzecze zdziwiony izraelita pokręcając głową.

— Oszukaniec, to jest, uważasz, człowiek — mówi zrywając się z kanapy pan Eustachy i stanąwszy jak taran jaki przed mizerną figurką zatrwożonego Goldgarta — który jak dowie się, że wełna w Wrocławiu podskoczyła, cichaczem przyjeżdża do uczciwego szlachcica i zmani go i za psie pieniądze kupi; rozumiesz?

— Jaśnie panie...

— Ale ja ci mówię bratku przeholowałeś; o przeholowałeś mości dobrodzieju! Co nadto to nie zdrowo...

— Niech jaśnie pan pozwoli... — odzywa się Goldgart ustępując ciągle ku drzwiom przed napierającym go brzuchem szlachcica...

— Ja nie pozwolę, i okradać się nie dam, jak honor kocham, tak nie dam!... Żebym się miał dziesięć lat procesować, żeby Głębokę dyabli mieli wziąć, to mojej wełny mości dobrodzieju nie będziesz widział! tak mi Boże dopomóż, nie dam! — zakończył uderzając dłonią w stół aż noże i widelce zadrgały, a żyd chwycił za klamkę drzwi z zamiarem rejterady...

— Ja... tego... ja nie wiem co jaśnie pan chce odemnie... ny co to jest?

— Ho, ho bratku, ty wiesz lepiej co ja chcę!... — krzyczy już, chodząc wśród sapania po alkierzu — Nie chcę być okradzionym i basta!

— Albo kto chce jaśnie pana okradać?

— Ty, ty, ty! — woła nad nim cały zaperzony obywatel.

— A niech mię Bóg broni! — odpowiada Goldgart. — O co jaśnie panu idzie, o wełnę?... Ja nie chce wełny... Jaśnie pan miszli co Goldgart jest jakoby chciwiec jaki... niech temu dyabli wezmą co on takie bajki narobił, aby mię z jaśnie panem pokłócić... Pan nie zna co jest Goldgart... Goldgart szanuje panów, z którymi ma interes... Proszę jaśnie pana oto jest kontrakt.

Pan Eustachy zdumiał się widząc tak łatwe zwycięstwo, więc aby nie tracić chwili gorącej, rzuca mu paczkę z tysiącem rubli, a podany papier chowa czemprędzej do kieszeni.

Dopiero wtedy nastąpiły ze strony Goldgarta pełne żalu wymówki, dlaczego jasny pan nie życzył mu tych sto korcy pszenicy, kiedy on więcej dawał, niż Waserberg, dlaczego posądzał go o wełnę...

— Powiem ci otwarcie, mój poczciwy Goldgartku, że to imość ma jakąś kreskę na ciebie, ale nie bój się ja to wszystko przerobię.

* * *

Jeszcze pan Eustachy nie zeszedł z wózka przed dworem w Głębokiej, kiedy pani Jadwiga poznała z miny, że jedzie zwycięzcą.

— Mówię ci Jagusiu — rzecze całując ją z wielką serdecznością a przytem śmiejąc się pociesznie. — Jakem mu wyrznął verba-veritatis, jak mu huknę mości dobrodzieju, jesteś oszust— żyd struchlał; ale to mówię imości, szukał mysiej dziury gdzieby się schować... No, no, weź jaśnie pan kontrakt, weź, weź... Otóż ja tak sprawy prowadzę — dokończył wciskając imości papier do ręki... Masz go...

— I bez odstępnego?

— Ani szeląga nie dałem, jak honor kocham, i mówię imości, gdyby nie sumienie, tobym był ze sto rubli na nim wystraszył...

— Eh to znowu nie potrzeba... a na cóż...

— To się też tak mówi tylko... ale jakiego szczupaka jadłem u Szmulowej... pa, pa, pa.

Nie bardzo podobała się pani Eustachowej owa bytność u Smulowej i te pa, pa, pa, o szczupaku faszerowanym, jednak że szanowny małżonek interes dobrze przeprowadził, tym razem przepuściła mu niewcześne, a raczej zapóźne umizgi do Esterki i inne jeszcze żarciki karesowe, przy których nie obyło się bez wieży z kości słoniowej...

Cały ranek następny, a przypominam, że to był piątek, w którym miał przyjechać Herszko z owym wrocławskim kupcem po wełnę, pan Eustachy koncypował kontrakt, jaki ma się podpisać o sprzedaż i wystylizowawszy go na czysto, pozostawił tylko okienka na cenę i ogólną sumę należności. Tymczasem minęła dziesiąta, jedenasta, pierwsza, przyszedł obiad, a kupców nie ma.

— Już chyba dziś nie przyjadą — mówił do żony wyglądając oknem na drogę wiodącą ku dworowi — pewnie się bali, że nie wrócą na szabas do domu, bo to trzy mile jazdy, a drogi się popsuły... Przyjadą w niedzielę.

Za to zjawił się Waserberg z furmankami po pszenicę i trzeba przyznać nie robił trudności, bo jakoś na gromadzie ani groszku ani takiego kąkolu jak w próbce nie było. Masłowski sumitował się na czem świat stoi, że dał czystą próbkę, i że pewnie Franciszek na złość mu tych ingredyencyi w drodze dosypał, ale i pan Eustachy i kupiec ofuknęli się go za to, a nawet pierwszy dał mu poznać, że musiał mieć trochę w czubku i pszenicę z gromady pośladu nabierał.

* *

Po cóż mamy dłużej trzymać w niepewności czytelników? O wełnę nie było kupca nie tylko w niedzielę, nie tylko w poniedziałek, ale podobno przez dziesięć jeszcze takich poniedział-

ków. Niestety ceny spadały coraz niżej, a pan Eustachy ani chciał słyszeć o mniej jak sto trzydzieści pięć złotych za kamień, które miał już w ręku... — Jak Boga kocham — powtarzał każdemu kupcowi miałem tysiąc rubli zadatku, niech Goldgart zaświadczy, i gdyby nie klekotania babskie, byłbym dawno o wełnie zapomniał.

Należy się słówko objaśnienia takim czytelnikom, którzyby to powtórzyć mogli panu Eustachemu: Całej tej awantury narobił Mendel, ten sam co handluje lasami i jest domowym kupcem pana Antoniego, męża rodzonej siostry pani Jadwigi dziedziczki Głębokiej. On to przez złość, do Goldgarta, aby go wykurzyć z łaski pana Eustachego, i doprowadzić do kapcaństwa, rozpuścił fałszywą pogłoskę o podskoczeniu wełny we Wrocławiu, i on był przyczyną, że Goldgart nieboraczysko złapał się zgodziwszy ową wełnę po sto trzydzieści pięć złotych. — Szczęściem, że Goldgart miał głowę nie do pozłoty, ale zdrową i przemyślną głowę żydowską i że znalazł w osobie Herszka, dobrego wspólnika, Herszek niby to od Fràinda wrocławskiego przysłany o kupno wełny do Głębokiej, napędził panu Eustachemu animuszu do zerwania umowy... Biedny Goldgart byłby stracił z jakie tysiąc dwieście złotych na owej wełnie, a tak dzięki radom pani Jadwigi wyszedł z honorem, i pszenicę na współkę z Waserbergiem kupił o trzy złote na korcu taniej jak sam dawał i wrócił napowrót do łaski dziedzica Głębokiej z przyległościami jako uczciwy żyd i nie tak chciwy jak inni.

Musimy przyznać, że co się tyczy uczciwości, Goldgart na taką nazwę zasługuje, albowiem wsypanie do woreczka z próbką, groszku i kąkolu w alkierzu Szmulowej było wyłącznym pomysłem Waserberga, o czem znów Goldgart nie miał potrzeby roztrębywać przed wszystkimi.

KONIEC.

UWAGI NAD WYSTAWĄ PARYZKĄ.

II.

(*Ciąg dalszy.*)

Pod zasłoną górnolotnych frazesów o zbrataniu się narodów na przemysłowej arenie, wypowiedziała tedy Francya ekonomiczną wojnę Niemcom. Rozumie się samo przez się, że my na moralną stronę tej sprawy nie kładziemy wcale nacisku i nie czynimy bynajmniej Francyi zarzutu z tego, że zgnębiona i politycznie i ekonomicznie przez Germanią, postarała się wprzódy o odwet ekonomiczny, zanim do politycznego otworzy sobie drogę. Przeciwnie podziwiamy metodę obraną przez Francuzów, i przyklaskujemy jej tembardziej z całego serca, że właśnie postępowanie Francyi możemy wziąć za przykład dla siebie. Wyszła ona z wysoce słusznej zasady, że siła polityczna każdego kraju ma się w prostym stosunku do jego ekonomicznych zasobów. Postarała się przeto przedewszystkiem o zdobycie tych zasobów, aby tem snadniej mogła potem zmierzyć się ze swym przeciwnikiem na polu politycznem. My zaś właśnie odwrotną szliśmy dotąd drogą*), a w poronionych walkach politycznych traciliśmy resztki ekonomicznych sił, przekazanych nam w spadku po ojcach naszych. Wprawdzie i wśród naszych mężów stanu znajdowali się tacy, którzy zalecali metodę wypróbowaną obecnie przez Francyą. Jednakże rad tych nie słuchaliśmy, bo były one wprost teoretycznym pomysłem, wnioskiem wyprowadzonym dedukcyjnie z rozumowania, a nie wydobytym indukcyjnie z praktyki życia. Dziejowe doświadczenie nie mogło ich widocznie i namacalnie poprzeć, bo nigdy jeszcze w dziejach ekonomiczne życie nie doszło do takiego rozkwitu, aby wszelka fluktuacya w inwentarzu bogactw pociągała za sobą tak bezpośrednie i tak wielkie polityczne następstwa. Za to dzisiaj, po próbie Francyi, metoda owa uzyskała już sankcyą praktyki, przestała być teoretycznym pomysłem, podlegającym krytyce i zarzutom, a stała się wypróbowaną i utorowaną drogą, receptą dla wszystkich narodów, dążących do politycznego odrodzenia. Aforyzm Leona Say'a wypowiedziany przed miesiącem na bankiecie w Rouen: *„Faites moi de bonnes finances et je Vous fera; de la bonne politique"*; aforyzm ten został hasłem dzisiejszej Francyi, a bodaj żeby wreszcie stał się i naszem hasłem.

Że wystawa była dobrą dla Francyi operacyą finansową, na to zgodzono się powszechnie już teraz, pomimo że i połowy jej następstw nie zdołała jeszcze Francya zeskontować. Z mnóstwa dowodów statystyką dostarczonych, a świadczących o pomyślnym rezultacie wystawy, przytoczymy jeden ale za to wymowny. W 1867 r., a więc w roku największego napływu cudzoziemców do Paryża, wśród całego ostatniego dziesięciolecia, wszystkie razem koleje żelazne francuskie, biorące swój początek w Paryżu, przywiozły do nadsekwańskiej stolicy i odwiozły z niej ogółem przez cały rok 12 miljonów osób. W bieżącym zaś roku w perjodzie ośmmiesięcznym (od 1. stycznia do 31 sierpnia) ruch pasażerów wynosił 32 miljony osób. Przypuszczając, że ruch ten nie zmniejszy się do końca roku, otrzymamy na rok bieżący kolosalną cyfrę 48 miljonów, to jest, że w tym roku cztery razy tyle osób co w r. 1867 przyjechało i wyjechało z Paryża. Przypuszczając, że każdy z tych 24 miljonów pasażerów wydał na podróż i na pobyt w Paryżu tylko dziesięć franków, to już otrzymamy imponującą sumę dwiestu kilkudziesięciu milionów puszczonych w obieg przeważnie w skutek wystawy. A jakież to miliony zostały w ruch wprawione przez obstalunki poczynione w fabrykach i rozmaitych zakładach przemysłowych i rękodzielniczych Francyi! Wprawdzie dotąd niepodobna nawet w przybliżeniu obliczyć tych wszystkich sum, jakie Francya, pod formą obstalunków sciągnęła lub ściągnie w tym roku z całej kuli ziemskiej ku sobie, gdyż to się uwydatni dopiero ku końcowi bieżącego roku, ale pewne o nich wyobrażenie powziąć już z tego faktu można, że dotąd w podatkach pośrednich wpłynęło 55 milionów, a w podatkach bezpośrednich 47 milionów więcej aniżeli preliminowano w budżecie i aniżeli w zeszłym roku w odpowiednim perjodzie czasu. Zatem *przeszło sto milionów* uzyskał rząd; a ileż kraj zarobił, kiedy mógł rządowi taką nadwyżkę dochodów wypłacić? Rachunek prosty: we Francyi stosunek dochodu rządu do dochodu kraju ma się mniej wiecej jak 1 : 12. Jeżeli przeto rząd w ośmiu miesiącach bieżącego roku miał przeszło 100 milionów nadwyżki w dochodach, to nadwyżka kraju wynosiła w przybliżeniu półtora miliarda.

Do jak bajecznych doszliśmy już rezultatów. Nadwyżka dochodu liczy się na miliardy. A przecież główny ruch przemysłowy rozpocznie się dopiero teraz, po rozdaniu nagród i premij. Teraz dopiero nastąpią obstalunki na wielką skalę, gdyż dotąd każdy z kupców czekał orzeczenia sędziów rzeczoznawców, bądź dlatego że chciał się oprzeć na zdaniu fachowych znawców, bądź też dlatego, że wie z praktyki, iż towary premiowanych fabryk w modę wchodzą. Każdy przeto dotąd obchodził się jak mógł, zakupywał towarów niewiele, tyle tylko, ile uważał za potrzebne na bieżący wydatek, na codzienną potrzebę. Oferty zaś rachunków stałych odkładał do dnia ogólnego sądu. Po dniu owym, mając w ręku opinią *jury*, według niej obstalunki poczyni. Otóż w chwili, gdy to piszemy, dzień ten mamy jeszcze przed sobą. Nie wiemy przeto dokładnie ile nagród otrzymają Francuzi a ile wszystkie inne narody, społem wzięte. Wszakże nie przesadzimy prawdopodobnie zbyt wiele, jeżeli przypuścimy z góry, że połowa nagród przypadnie na rzecz Francyi. Że zaś więcej niż połowa obstalunków u niej zagrzęźnie, na to zgodzi się każdy, kto należycie oceni, jak ważnym punktem grawitacyjnym jest Francya w życiu ekonowicznem Europy. Ile tedy miliardów wpłynie do niej, do jakich rozmiarów dociągną w tym roku jej dochody, tego — zdaje się nam — obliczyć obecnie nie jest wstanie najśmielsza wyobraźnia finansistów francuskich. Że jednak w tym roku wróci Francya sobie całą pięciomiliardową kontrybucyą wojenną, na to zgadzają się nawet finansiści niemieccy. I pomyśleć, że część tego zwrotu wypłacą Niemcy, że oni ani jednej nie otrzymają nagrody, że o nich nikt nie usłyszy w dzień przemysłowego sądu całej kuli ziemskiej, że słowem oni dla świata przemysłowego jak gdyby zniknęli z powierzchni ziemi. Lepszego odwetu nie mógł pragnąć nawet najzagorzalszy patrjota francuski. A przecież jest to dopiero odwet ekonomiczny!

Pewna legenda irlandzka opiewa bohaterstwo dwóch kotów, które tak zacięcie ze sobą walczyły, że pożarły się nawzajem; zostały z nich tylko ogony. Walka Francyi z Germanią na wystawie paryzkiej do innego doprowadziła rezultatu. Z Niemiec zostały wprawdzie tylko resztki pod formą skromnego, nader nawet skromnego salonika obrazów. Natomiast Francya utyła tak nieporównanie, że na oko zajęła połowę, w rzeczywistości zaś, licząc w to rozmaite anneksy, więcej niż połowę całej wystawy. To też ciężarem i ogromem swoim przytłoczyła wystawę, przeładowała ją sobą, odjęła jej rozmaitość, a nadała monotonną cechę wielkiego francuskiego jarmarku. Lista wystawców francuskich liczy się nie na setki, ale na tysiące. Wątpić nawet można czy znajdzie się w całej Francyi, jak długa ona i szeroka, jedna jaka fabryka, jeden jaki zakład przemysłowy lub rękodzielniczy, któryby się nie popisał ze swoim wyrobem, któryby na wystawie nie miał swojej szafki. Ze wszystkich kątów rzeczy-pospolitej zbiegli się przemysłowcy do wspólnej uczty, roszcząc dla siebie jednakowe do niej prawa i jednakowe tytuły do eksploatacyi Europy. Nie jednakowo jednak byli oni uposażeni w kapitał. Wielu szarpnęło się niepospolicie, obarczyło się nad swe siły zadaniem, któremu bacząc na rzecz ze ściśle finansowego stanowiska sprostać nie mogło. Dla tych wystawa i niewinna chęć popisania się na niej, groziła ruiną. Powtórzyła się tu bowiem ta sama rzecz, którą na mniejszą skalę widzieliśmy na naszej lwowskiej wystawie. Na kredyt wzięto surowy produkt, na kredyt go obrobiono, na kredyt kupiono ozdobną szafkę, włożono go w nią i na kredyt najęto komisanta do objaśniania widzów. Ponieważ jednak obstalunki, zdążające nawet najszybciej, żółwim przecież idą krokiem w porównaniu do chyżości z jaką wzrastają procenta od kapitałów wypożyczonych na hipotekę przyszłej

*) Gdyż nie mamy swobody wyboru dróg, tylko zostajemy na łasce wypadków od nas niezależnych. Przyp. Red.

pomyślności; przeto nadeszła chwila, w której zagrożony został byt tysiąca rękodzielników i drobnych przemysłowców Francyi. U nas, podczas naszej wystawy zeszłorocznej, katastrofa taka zagrażała zaledwie kilku czy kilkunastu rękodzielnikom. Uratował ich komitet przychodząc im w pomoc za pomocą loteryi. Do tego samego środka uciekło się także francuskie ministeryum dla handlu i przemysłu. Ogłosiło narodową loteryą, inscenowało ją nader zręcznie, wprowadziło wcale znakomitą dla niej reklamę i sprzedało po dziś dzień trzy serje frankowych biletów; a każda serja wynosi milion.

Loterya ta dopełniła miary niechęci, jaką gospodarka Francuzów wznieciła w zagranicznych wystawcach. Przedewszystkiem oburzało ich skąpstwo, z jaką dyrekcya wystawy wyznaczała miejsca dla cudzoziemców obok niesłychanej hojności, jaką się kierowała względem swych wystawców. Dalej oburzały ich rozmaite biurokratyczne płoty i zawady, stawione na każdym kroku przez administracyą francuską. Wreszczie jak powiedzieliśmy, miary dopełniła loterya, która jakby jaki podatek nałożona przeważnie na cudzoziemców i z nich ściągnięta, przeznaczoną jednak została wyłącznie na wsparcie dla przemysłu francuskiego. Szperając, wyszukali oni nawet — ci cudzoziemcy — że ministeryum postąpiło sobie jak tylko można najnielegalniej. Istnieje bowiem we Francyi parlamentarna uchwała z 1832 r. znosząca raz na zawsze i po wszystkie czasy loterją, jako „instytucyą niemoralną, budzącą pragnienie łatwego zysku i prowadzącą z jednej strony do ruiny z drugiej do rozpusty“. Uchwały tej dotąd żaden parlament francuski nie obalił; istnieje ona przeto w całej swej prawnej mocy, a sądy francuskie, opierając się na niej, mogłyby cały teraźniejszy gabinet wersalski powołać przed swoje kratki. Jednakże który sędzia odważy się na to kiedy loterya wprowadziła już dotąd w obieg trzy miliony franków w sferę drobnego przemysłu francuskiego, a jest nadzieja że do 20. Listopada — do dnia zamknięcia loteryi — drugie tyle wprowadzi.

Francya zajęła więcej niż połowę przestrzeni na polu Marsowem, mimo to jednak nie zajęła połowy uwagi tych osób, które badają a nie jeno zwiedzają wystawę. Najokazalej wprawdzie wystąpiła, z pompą niesłychaną, a w skutek tej galerye jej pełne są zawsze tłumów; niemniej przecie swiatu przemysłowemu nie zaimponowała wcale. Może to dlatego, że on się spodziewał po niej tej pompy i okazałości, a wiedząc z góry co go czeka, z zimną krwią przyjął to co go spotkało; może znów dlatego, że Francya pozbawiona dwóch najbogatszych i najbardziej przemysłowych prowincyj, nie była jeszcze w stanie tak dalece zagoić tej rany i przemysłowe swe życie tak rozwinąć, aby mogło ono bez pomocy owych prowincyi nietylko wrócić do pierwotnego swego blasku, ale nadto sięgnąć po za ten blask i opromieniać nadzieją jeszcze świetniejszej przyszłości; może wreszcie Francya istotnie nie ma w sobie pierwiastków tej przyszłości, i o wiele wyżej po nadto czem jest samoistnie dźwignąć się nie zdoła; imponuje dzisiaj, stoi na pierwszym planie, ale może już jutro zejść będzie musiała na drugi i ustąpić pierwszeństwa potężniejszemu współzawodnikowi.

Bądź co bądź, galerye francuskie w oczach znawców nie stanowiły *great attraction*. Witało się je jako dobrych, wiecznie przyjemnych, starych znajomych. Przebywało się w nich chętnie, połykało się ślinkę na widok artystycznie wykonanych bronzów, zazdrościło się w myśli tym, którzy meblują swe salony przecudnemi gobelinami, przypatrywało się z nabożeństwem do prześlicznych waz z sewrskiej porcelany — ale to i wszystko. Na panie wywierały jeszcze atrakcyą rzeczy takie jak kapelusze z wypchanemi ptakami, jak suknie ubrane w duże słoneczniki lub w gniazda ptasie z jajami i pisklętami, jak buciki o obcasach inkrustowanych w desenie perłową masą etc. Jeżeli zaś kto chciał dowiedzieć się, do jakich rozmiarów przemysł dojść może, jaką on rolę w przyszłości zająć potrafi, jak on potężnie zdoła opanować przyrodę i jej siły, jak on wreszcie pojęcie luksusu i zbytku ograniczy do nieskończenie małej liczby przedmiotów, a wszystkie te rzeczy, które my dzisiaj nazywamy zbytkownemi z powodu ich ceny, potrafi produkować tak tanio, że uczyni je przystępnemi dla wszystkich warstw społecznych; kto słowem chciał uchylić rąbek zasłony, zakrywającej przyszłość przed oczami naszemi i pragnął zobaczyć jak i co ludzie z czasem robić będą; ten opuszczał galerye francuskie, przecinał się w poprzek przez gmach wystawy i w dziale *des galéries étrangères* szukał kompartimentu amerykańskiego. O Ameryce, o tym olbrzymie, który wyrasta w oczach naszych, do niedawna był jeszcze pacholęciem na polu przemysłowem, a dzisiaj nietylko zaimponował wszystkim, nietylko ściągnął na siebie wszystkich uwagę — bo to niewieleby jeszcze znaczyło — ale co gorsza, przestraszył Europę, kazał jej przemysłowcom zadrzeć o ich byt, o ich przyszłość, o ich kapitały, który zapowiedział już teraz, że za lat parę wypowie walkę o byt swej macierzy i w tej walce z ziemią zrównać gotów wszystkie fabryki europejskie, a swojemi towarami o wiele lepszemi i tańszemi zalac gotów wszystkie europejskie rynki; o tym tedy nieprzyjacielu przemysłu europejskiego, który się zdemaskował na wystawie paryskiej, pomówimy w następnym artykule.

(C. d. n.)

BEZWONNY KWIATEK.

— Czemu kwiatku kwitniesz blado,
Czemu nie masz woni?
Czy dla tego, że wyrosłeś
Na pustej ustroni?
Może wiatr gorący wiejąc
Nad tobą ogniście,
Zniszczył ciebie, woń twą uniósł
I wysuszył liście?
Może zimny powiew wichru,
Lecąc od północy
Zmroził życie twe, że nikniesz
Pozbawiony mocy?
Może deszcz gwałtowny zgniótł cię,
Lub zalała woda?
Powiedz kwiatku, czemu znikła
Dawna twa uroda?
Gdzież twój urok, barwa, zapach,
Gdzież twoja woń miła?
Jakaż ciebie, powiedz kwiatku,
Niedola zniszczyła?
— „Oj, nie ziemia tutaj sucha,
„Ni powiew gorący,
„Ani wicher tędy leciał
„Wszystko tchem mrożący,
„Ani deszcz mnie zgniótł ulewny,
„Woda nie zalała,
„Wichrów nie ma, rzeka groźna
„W łożysku została...
„Mnie w korzeniu czerw ukryty
„Gryzie potajemnie,
„Więc liść usechł, i kwiat zmarniał,
„I śmierć mieszka we mnie.“

St. Ross...

OGRODNICTWO

(z serbskiego.)

Młoda dziewczyna w swoim ogrodzie
Rowek przy grządce kopała,
Aby w nim woda, w wieczór o chłodzie,
Do wonnych kwiatów spływała.

Pracą zmęczona, biedna usnęła:
Narcyzy kwitną gdzie głowa,
W stokrocie drobne rączki wetknęła,
A nóżki w strumieniu chowa.

A wtem swawolny chłopak nadbiega,
Chce kwiatek zerwać pachnący,
I ze zdziwieniem miłem spostrzega
Postać dziewicy marzącej.

I pyta siebie w pilnej rozwadze:
„Co lepiej? Czyli kwiat zerwę,
„Czy pocałunkiem obecność zdradzę,
„I nim dziewiczy sen przerwę?“

I dumał nad tem, ale to jeg,
Nie długo trwało dumanie;
„Kwiat? jutro śladu nie będzie z niego,
„A pocałunek — zostanie!“

St. Ross...

KARTKA MIŁOŚCI.

POWIEŚĆ EMILA ZOLI.

Spolszczyła

WINCENTA LIMANOWSKA.

CZĘŚĆ CZWARTA.

(Ciąg dalszy).

V.

Joanna z oczami, utkwionemi we drzwi, została w głębokim smutku po nagłem wyjściu matki. Obejrzała się, pokój był pusty i cichy; ale słyszała jeszcze odgłos szybkich kroków, co się oddalały, szmer sukni, trzask drzwi gwałtownie zamkniętych. A potem nic już. Pozostała sama.

Sama, sama. Na łóżku kaftanik matki rzucony; suknia, której rękaw jeden padł na wałek, dziwnie się ułożyła, jak osoba, która w bezmiernej boleści rzuciła się, łkając na łóżko. Bielizna walała się tu i ówdzie. Czarna chustka tworzyła na podłodze żałobną plamę. Krzesła porozstawiane, stolik przysunięty do szafy, a między tem wszystkiem ona sama; łzy dusiły ją, kiedy patrzała na tę suknię matki, której nie było, suknię, sztywnie fałdującą się jako na umarłej. Złożyła rączki i raz jeszcze zawołała: „Mamo! mamo!“ Obicie aksamitu stłumiło jej głos. Skończyło się, była sama.

Czas upływał. Trzecia godzina wybiła na zegarze. Przez okno wchodziło światło blade, niepewne. Ciemne chmury przesuwały się po niebie. Przez szyby, pokryte lekką wilgocią, widać było Paryż, nie wyraźnie rysujący się pośród mgły, i dalekie okolice jego przysłonięte dymami. Miasto nawet nie dotrzymywało towarzystwa biednemu dziecięciu, jak to bywało za dni jasnych, kiedy zdawało się jej, że wychyliwszy się tylko trochę, ręką dotknie ulic jego.

Co miała robić teraz? Małe jej rączki rozpaczliwie zacisnęły się na piersiach. Opuszczono ją; wydawało się jej to tak okropnem, tak niesprawiedliwem i złem, że szalała z gniewu. Nie

zdarzyło się jej nigdy nic podobnie przykrego; sądziła, że teraz wszystko już zniknie, i nic nie wróci do dawnego porządku. Potem spostrzegła przy sobie na fotelu lalkę swą, plecami opartą o poduszki, z nogami wyciągniętemi, patrzącą na nią jak człowiek. Nie była to jej lalka mechaniczna, ale wielka lalka z głową z kartonu, z włosami ufryzowanymi, oczami z emalii, których nieruchome wejrzenie mięszało ją niekiedy. Od dwóch lat ubierała ją i rozbierała. Policzki i brodę miała obdarte; członki, pokryte różową skórą a wypchane otrębami, zmiękły i wyciągnęły się jak stara bielizna. Na teraz lalka ubrana była jak na noc, w jednej koszuli; miała ręce powyciągane, jedna z nich podniosła się w górę, druga opadła na dół! Joanna, widząc, że miała kogoś przy sobie, uczuła się mniej nieszczęśliwą. Wzięła ją na ręce i mocno przycisnęła do siebie; głowa lalki odpadła w tył wraz ze złamaną szyją. I mówiła do niej, że jest najgrzeczniejszą, że ma dobre serce, bo nigdy nie wychodzi i nie zostawia ją samę. Nazywała ją skarbem swoim, małym koteczkiem, drogiem serduszkiem. Drżąc cała i powstrzymując się jeszcze od łez, okrywała ją pocałunkami.

Pieszczoty te pomściły ją cokolwiek; lalka opadła jej na ręce jak łachman. Joanna powstała, oparła czoło o szybę i patrzyła na dwór. Deszcz ustał, chmury toczyły się na horyzoncie ku wzgórzom Pére-Lachaise, które tonęły w szarej mgle; na tem tle burzliwem. Paryż, oświecony jednostajnem światłem, wyglądał samotnie i smutno. Zdawał się być wyludniony i podobny do tych miast widzianych w zmorze przy odbłysku gasnącej gwiazdy. Nie było to ładne, z pewnością. Dziecię, jak gdyby we śnie dumało o wszystkich tych, których kochało od urodzenia swego. Najdawniejszym ulubieńcem jej w Marsylii był wielki rudy kot, bardzo ciężki; brała go pod brzuch, zaciskając swe małe rączki, i przenosiła z jednego krzesła na drugie, a on nigdy się nie pogniewał o to; potem znikł gdzieś; była to pierwsza psota, którą, jak pamiętała, wyrządzono jej. Potem miała wróbla; ten zdechł, znalazła go nieżywego w klatce; to dwa. Nie liczyła już zabawek, które psuły się dla tego, by jej zrobić przykrość, nie rachowała rozmaitych niesprawiedliwości, nad któremi wiele cierpiała, bo była jeszcze bardzo nie mądra. Jedna lalka szczególnie, nie większa od dłoni, przyprowadziła ją była do rozpaczy, dając sobie stłuc głowę; kochała ją tyle, że ukradkiem pochowała w kąciku ogrodu; później, nie mogąc się oprzeć chęci widzenia jej, odkopała ją i zachorowała ze strachu, znalazłszy tak czarną i brzydką. Zawsze inni przestawali ją pierwsi kochać. Znikali, odchodzili; dość że to zawsze pochodziło z ich winy. I dla czego tak? Ona nie zmieniała się nigdy. Kiedy kochała kogo, to już całe życie. Nie pojmowała opuszczenia. Było to coś tak ogromnego, tak potwornego, że nie mogło się zmieścić w jej serduszku; rozsadzało je. Dreszcz ją przechodził na te bezładne myśli, które budziły się w niej powoli. Rozstawano się, każdy szedł w swoją stronę, nie widywano się, nie kochano się już. Z oczami, utkwionemi w Paryż, ogromny i melancholiczny, stała tak zlodowaciała przed temi srogościami życia, które dwunastoletnia jej namiętność odgadywała.

Oddech jej zamglił jeszcze szybę. Ręką starła wilgoć, która przeszkadzała jej patrzeć. Zdala pomniki, opłukane deszczem, połyskiwały jak lustra. Za ogonem chmury, która zasłaniała jeszcze miasto, ukazywał się już biały promień słońca, niektóre zakątki nieba zabierały się do uśmiechu. Joanna spojrzała na dół; na wybrzeżach i pochyłościach Trocadero, ulice wracały do życia, po gwałtownym deszczu. Dorożki przesuwały się powoli: na pustych jeszcze milczących drogach omnibusy głośniej niż zwykle turkotały. Parasole zamykały się, przechodnie, którzy się byli schronili pod drzewa, ośmielali przejść z jednego chodnika na drugi; kałuże wody spływały do rynsztoków. Joanna z szczególnem zajęciem przypatrywała się jakiejś damie i małej dziewczynce; obie bardzo ładnie ubrane stały pod namiotem kupcowej z zabawkami przy moście. Schroniły się tam zapewne przed deszczem. Mała przetrząsała sklepik, męczyła damę, chcąc dostać obręcz; obie oddalały się teraz, dziewczynka biegła, śmiejąc się i popychała obręcz na chodniku. Joannie zrobiło się bardzo smutno; lalka wydała się jej szkaradną. Chciała obręczy, chciała być tam i biegać; matka jej szłaby za nią powoli, wołając na nią, by się nie oddalała. Wszystko się mięszało. Co chwilę ocierała szybę. Zakazano jej otwierać okno; ale teraz podnosiła bunt, mogła patrzeć przynajmniej na dwór, jeżeli ją tak pozostawiano w domu. Otworzyła, oparła się na framudze, jak dorosła osoba, jak matka jej, kiedy to siadała tutaj i przestawała mówić.

Powietrze było łagodne i wilgotne; wydało się jej bardzo przyjemne. Cień jakiś powoli zsuwał się na horyzont; podniosła głowę. Był to niby olbrzymi ptak, co z rozpostartemi skrzydłami zawisł nad nią. Była to nowa nawalnica, gnana wichrem od zachodu. Nagle pociemniało, miasto stało się czarne, fasady domów miały barwę starej rudy. Prawie jednocześnie deszcz lunął. Wszystkie drogi i ulice stanęły pustką, jakby wymiótł. Parasole wróciły; przechodnie, uciekając na wszystkie strony, poznikali jak cienie. Stara pani jakaś obiema rękami podniosła swe suknie, a tymczasem deszcz lał jak z rynny na jej kapelusz. Można było gonić okiem za wściekłym biegiem chmury, po nad miastem; pręgi grubych kropel nizały aleje, w szalonym galopie unosząc kłęby białego kurzu, który ścieląc się po ziemi z nadzwyczajną szybkością przelatywał pola Elizejskie, wpadał do prostych, długich ulic cyrkułu Saint-Germain, przewalał się po szerokich przestrzeniach i pustych placach. W kilka sekund po za tą zasłoną, coraz gęstszą, miasto zbladło, zdawało się topnieć. Była to jak gdyby firanka, z ukosa zaciągnięta między niebem a ziemią. Pary podnosiły się; szmer ulewy napominał ogłuszający brzęk żelaztwa.

Joanna, ogłuszona hałasem, cofnęła się. Zdawało się jej, że szary jakiś mur stanął przed nią. Ale bardzo lubiła deszcz; wróciła, oparła się na oknie, wyciągnęła ręce i patrzała jak wielkie, zimne krople padały na nią. Bawiło ją to, zmokła, aż po rękawy. Lalkę musiała głowa boleć tak jak i ją. Posadziła ją konno na pręcie, plecami opartą o ścianę. I widząc, jak woda bryzgała na nią, myślała, że przynosi to jej ulgę. Lalka, wiecznie uśmiechnięta, z wyszczerzonymi ząbkami, sztywnie siedziała; z jednego jej ramienia woda spływała, a wiatr podnosił koszulę. Biedne jej ciało, z którego otrębie wysypały się, trzęsło się niby od chłodu.

Dla czego matka nie wzięła jej? Woda, która spływała jej po rękach, nową przyniosła pokusę, chęć wyjścia. I znowu przez zasłonę ulewy widziała małą dziewczynkę, toczącą obręcz po chodniku. Ta przecież wyszła z matką swą. I obie zdawały się być tak zadowolnione. To dowodziło, że brano z sobą małe dziewczynki, chociaż deszcz padał. Trzeba było tylko chcieć. Dla czegoż nie chciano? I znowu przyszedł jej na myśl rudy jej kot, który z ogonem do góry poszedł sobie po dachach naprzeciwko; potem znowu ten głupi wróbel, którego próbowała była nakarmić, kiedy zdechł, a ten udawał, że nie rozumie jej. Historye te wciąż się jej przytrafiały, kochano ją za mało. Oh! byłaby się ubrała w dwie minuty; ubierała się prędko, jeżeli chciała; Rozalia zapinała buciki, potem paltot, kapelusz, i koniec. Matka jej przecie mogła poczekać na nią minut parę. Kiedy szła do przyjaciół swoich, nie potrącała tak rzeczy; kiedy była w lasku Bulońskim, chodziła powoli, trzymając ją za rękę i zatrzymywała się przy każdym sklepie na ulicy Passy. I Joanna nie mogła odgadnąć, nie mogła pojąć tego, co się dzisiaj stało; czarne jej brwi ściągały się, a delikatne rysy nabierały wyrazu owej zazdrośnej surowości, który czynił twarzyczkę jej podobną do twarzy starej złośliwej panny. Niewyraźnie czuła, że matka jej była gdzieś tam, gdzie dzieci nie chodzą. Nie zabrano jej, bo się przed nią ukrywano. Na tę myśl serce jej ściskało się niewypowiedzianym smutkiem; wszystko ją bolało.

Deszcz stawał się drobniejszy; zasłona, przykrywająca Paryż, robiła się przeźroczystą. Kopuła inwalidów ukazała się naprzód, lekka i drżąca wśród błyszczącego drgania ulewy. Potem cyrkuły wypłynęły z pod fali, która cofała się, miasto zdawało się wychodzić z powodzi; z dachów jego lały się potoki, a rzeki napełniały ulice parą. Nagle wybuchł płomień, na ulewę padł promień słońca. Był to uśmiech wśród łez. Deszcz nie padał już na cyrkuły Pól Elizejskich, lał jeszcze na brzeg lewy, na miasto i dalsze przedmieścia; widać było na słońcu, jak krople jego ciągnęły się niby druty stalowe, cienkie i gęste. Na prawo ukazała się tęcza. W miarę tego, jak promień rozszerzał się, różowa i niebieska barwa malowała horyzont pstrocizną, przypominającą dziecinne akwarele. Niebo się zaiskrzyło, i śnieg złoty padł na kryształowe miasto. Promień zgasł, chmura stoczyła się, uśmiech spłynął we łzach; pod ołowianem niebem Paryż ociekał z przeciągłym szmerem łkania.

Joanna z mokrymi rękawami zaczęła kaszlać. Zajęta myślą, że matka jej była teraz w Paryżu, nie czuła chłodu, który ją przenikał. Znała już trzy pomniki, Inwalidów, Panteon, wieżę świętego Jakóba; powtarzała ich nazwy, wskazywała na nie palcem i nie mogła sobie wyobrazić, jak one wyglądają z bliska. Zapewne matka jej była tam; przypuszczała, że w Panteonie, bo ten dziwił ją najbardziej ogromem swoim, stojący niby w powietrzu, jak kitka miasta. Potem zapytywała siebie. Paryż był dla niej tem miejscem, gdzie dzieci nie chodzą. Nie prowadzono jej tam nigdy. Chciałaby wiedzieć, a wówczas mówiłaby sobie spokojnie: „Mama jest tam i robi to." Ale miasto wydawało się jej nadto wielkie; niepodobna odszukać w niem nikogo. Oczy jej przesunęły się na drugą stronę płaszczyzny. Może było to w tej kupie domów, na lewo, na wzgórzu? albo tu bliziutko, pod wielkiemi drzewami, których obnażone gałęzie podobne były do wiązek suchego drzewa? Gdybyż mogła zajrzeć pod dachy! A ten gmach czarny, co to takiego? a ta ulica, po której biegło coś wielkiego? a ten cyrkuł, którego się bała, bo z pewnością bili się tam. Nie mogła dobrze rozróżnić; ale, nie kłamiąc, ruszało się to, coś bardzo brzydkiego, małe dziewczynki

nie powinny patrzeć na to. Rozmaite nieokreślone przypuszczenia pobudzały ją do płaczu i niepokoiły dziecinną nieświadomość. Nieznany Paryż ze swymi dymami, swoim wiecznym hukiem, swojem życiem potężnem dyszał tuż pod jej stopami; czuła oddech jego przy tej miękkiej odwilży, czuła woń nędzy, śmiecia, zbrodni, od których kręciło się jej w głowie tak, jak gdyby się pochylała nad jedną z owych zapowietrzonych studni o trujących wyziewach. Inwalidzi, Panteon, wieża świętego Jakóba, nazywała je, rachowała; a dalej już nie wiedziała nic, przerażona i zawstydzona, z upartą myślą, że matka jej była wśród tych brzydkich rzeczy, gdzieś w samej głębi, tam, nie wiedziała gdzie.

Nagle odwróciła się. Byłaby przysięgła, że ktoś przeszedł po pokoju; nawet jakaś lekka ręka dotknęła jej ramienia. Ale pokój był pusty; w tym samym nieporządku, w jakim go Helena zostawiła była; podwłośnik płakał wciąż wyciągnięty na wałku. Joanna blada powiodła wzrokiem po pokoju, i serce jej rozdarło się. Była sama, samiuteńka jedna. Mój Boże! matka wychodząc popchnęła ją i to bardzo mocno nawet, tak, że upadła na ziemię. Bolesne to wspomnienie wracało wciąż, sprawiając jej okropne cierpienie. Dla czego uderzono ją? Była przecie grzeczna, nie miała nic do wyrzucenia sobie. Obchodzono się z nią zwykle tak łagodnie, i teraz kara ta oburzała ją. Czuła ów przestrach dziecka, które straszą wilkiem; patrzy na niego, nie widząc; było to coś, co się kryło w cieniu, a co miało ją zgnieść. Domyślała się trochę jednak; twarzyczka jej bladła i mieniła zazdrośnym gniewem. Nagle, myśl, że matka więcej niż ją kochała tych ludzi, do których pobiegła, odepchnąwszy ją tak mocno, sprawiła jej ból tak, że obie rączki przycisnęła do piersi. Wiedziała teraz, matka ją zdradzała.

Nad Paryżem zrobił się wielki niepokój, w oczekiwaniu nowej burzy. W powietrzu powstał szmer, czarne chmury przesuwały się powoli. Joanna gwałtownie zakaszlała przy oknie; ale czuła się jak gdyby pomszczoną tym chłodem, co ją przejmował; chciałaby zaziębić się. Z rączką na piersiach czuła w nich wzrastający niepokój. Niepokój ten ogarniał ją całą. Drżała od strachu a nie śmiała oglądnąć się, przerażona samą myślą spojrzenia jeszcze na pokój. Kiedy się jest małą, to nie ma sił. Ten nowy ból, cóż to było takiego? przynosił jej wstyd jakiś i gorżką przyjemność zarazem? Kiedy drażniono, kiedy ją łechtano, nie zważając na śmiech jej, wówczas już czuła podobnie okropny dreszcz. Słabnąc prawie, wydała stłumiony krzyk: „Mamo! mamo!“ Któż mógłby odgadnąć, czy wołała matkę na pomoc, czy oskarżała ją o ten ból, który ją przyprawiał o śmierć?

W tej chwili burza zerwała się. Wiatr zawył, przerywając groźną ciszę, co wisiała po nad ponurem miastem. Paryż odezwał się przeciągłym trzaskiem; żaluzye łomotały się, dachówki leciały, rury od kominów i rynny spadały na bruk ulic. Potem, cisza wróciła na kilka sekund, potem nowy, olbrzymi oddech burzy przeleciał i napełnił horyzont tak gwałtownie, że ocean dachów wstrząsł się, zdawał się podnosić swe fale i znikł w wirze. Na chwilę zrobił się chaos. Potężne chmury, rozlewając się po niebie, jak olbrzymie plamy atramentu, pędziły wśród stada pomniejszych, rozpierzchłych i kołyszących się, podobne do tych łachmanów, co je wiatr rozrywa na kawałeczki i nitka za nitką roznosi. Dwie chmury uderzyły na siebie i pękły z trzaskiem, szczątki ich rozsypały się po szerokiej przestrzeni koloru miedzi, za każdym razem, kiedy uragan szalał tak, dmąc ze wszystkich stron nieba, w powietrzu rozlegał się niby łomot wojsk, niby straszliwe przeciągłe runięcie jakiegoś olbrzymiego gmachu, którego gruzy zawieszone nad Paryżem, groziły mu ruiną. Deszczu nie było jeszcze. Nagle jedna z chmur pękła nad środkiem miasta, i trąba wodna cofnęła bieg Sekwany. Zielona wstęga rzeki, zmęczona pluskaniem kropel, zamieniła się w błotnisty potok; po za ulewą widać było mosty, wąziutko i lekko zawieszone w mgle; na prawo i lewo, na pustych wybrzeżach, wzdłuż szarej linii chodników, wicher wściekle miotał drzewami. Chmury skupiały się coraz bardziej po nad miastem, wreszcie zawisły nad niem ciężko, nisko, coraz niżej, wreszcie ze wszystkich stron gwałtownym deszczem uderzyły na nie; zdawało się, że niebo rzuciło się na ziemię; ulice znikały, chwilami tonęły, to znowu wypływały na wierzch, wśród gwałtownych wstrząśnień, które zdawały się przepowiadać koniec miasta, przeciągły huk burzy nie ustawał, wezbrane rynsztoki pieniły się i z łoskotem wpadały do kanałów.

Powoli po nad zabłoconym Paryżem chmury przerzedzały się, bladły siną barwą, która równo rozpostarła się na nich, bez żadnych pręg lub plam. Deszcz drobniał, stawał się prosty i ostry, a kiedy chwilami wicher zadął, wówczas słychać było, jak krople deszczu ukośne, prawie poziome smagały ścianę, sycząc; wiatr ucichł i one znowu prostowały się, spokojnie ale uparcie kłując ziemię. Ogromne miasto, jak gdyby zniszczone po straszliwych konwulsyach, legło martwe, jak pole zasłane kamieniami.

Joanna leżała oparta o okno; i znowu wyszeptała: „Mamo! mamo!“ zmęczona i słaba. Włosy miała rozrzucone, twarz mokrą od deszczu. Czuła wciąż ten smak gorżkiej rozkoszy, który przed chwilą przejął ją był dreszczem, a zarazem żal za czemś, czego niepodobna już było naprawić, napełniał jej serce. Zdawało się jej, że wszystko już skończyło się, że była bardzo stara. Godziny mogły upływać, ona nie patrzyła już nawet na pokój. Obojętnem jej było, że ją zapomniano i pozostawiono samę. Taka rozpacz napełniała jej dziecinne serce, że wszystko dokoła wydawało się jej czarnem. Jeżeli będą się gniewali na nią, jak wówczas kiedy była chora, to będzie bardzo niesprawiedliwie. Paliło ją to i jak ból głowy chwytało. Z pewnością, ot teraz, gdzieś złamano jej coś. Nie mogła przeszkodzić temu. Musiała przystać na to, czego chcieli inni. Nareszcie, nadto była zmęczona. Małe swe rączki splotła na drążku u okna, i sen ją zmorzył; oparła główkę, i od czasu do czasu otwierała ogromne swe oczy, i patrzyła na ulewę.

Deszcz lał ciągle; blade niebo topniało na wodę. Ostatnie uderzenie wichru przeleciało; monotonny już tylko łoskot słychać było. Wśród uroczystej nieruchomości deszcz bił bez końca o ciche puste miasto, które pokonał. Po za pręgowanym kryształem tego potopu, ukazywał się Paryż o liniach drżących jak widmo, co miało rozpłynąć się. Przynosił on Joannie już tylko potrzebę snu z brzydkiemi marzeniami, jak gdyby wszystko to, czego nie znała, i ten ból, którego pojąć nie mogła, zamieniły się w mgłę, co ją przeszywała i sprowadzała kaszel. Za każdym razem, kiedy otwierała oczy, kaszel wstrząsał nią; przez kilka minut patrzyła na Paryż, potem główka jej opadła, a ona unosiła w pamięci widziany obraz, zdawało się jej, że miasto roztacza się nad nią i przygniata ją ciężarem swoim.

Deszcz padał ciągle. Która to godzina mogła być teraz! Joanna nie mogłaby powiedzieć tego. Może zegar nie szedł wcale. Nie chciała obejrzeć się, wydało się jej to nadto męczącem. Matka jej wyszła co najmniej tydzień temu. Przestała oczekiwać ją, zgodziła się nawet nie widzieć jej już więcej. Potem zapominała o wszystkiem, o przykrościach, które jej wyrządzano, o dziwnym bolu, który jej tak mocno dolegał przed chwilą, a nawet o tem, że ją tak opuszczono. Ciężar jakiś spadał na nią wraz z chłodem kamienia. Była tylko bardzo nieszczęśliwa, oh bardzo nieszczęśliwa, tak jak te biednie opuszczone dzieci pod drzwiami, którym dawała pieniądze. Nigdy to już nie ustanie, będzie tak przez długie lata; to nadto wielkie i nadto ciężkie dla małej dziewczynki. Mój Boże! jaki to kaszel, jakie to zimno, kiedy cię już nie kochają! Zamykała ciężkie powieki, przy zawrocie głowy i gorączkowej senności; ostatnią jej myślą było jedno wspomnienie dzieciństwa: bytność w pewnym młynie, żółte zboże i malutkie ziarenka, które toczyły się pod kamienie młyńskie, wielkie jak domy.

Godziny i jeszcze godziny upływały, każda minuta była wiekiem. Deszcz padał bezustannie, spokojnie, jak gdyby miał dosyć czasu wieczność całą do zatopienia płaszczyzny. Joanna spała. Przy niej lalka, zgięta na drążku okna, z nogami w pokoju, a głową na dworze, podobna do topielca, ze swą koszulą, co się kleiła do skóry różowej, swemi nieruchomemi oczami, swymi włosami, z pod których spływała woda; a chuda tak, że tylko płakać nad nią, w postawie komicznej a zarazem rozdzierającej serce, leżała jak mały trupek. Joanna, śpiąc, kaszlała; ale nie otwierała już oczu, główka jej stoczyła się na skrzyżowane rączki, kaszel kończył się świstem, ona nie budziła się. Spała w ciemności, nie cofnęła nawet ręki, po której zaróżowionych paluszkach spływała woda, kropla za kroplą, do tych wielkich przestrzeni, które roztaczały się pod oknem. I tak upływały godziny, i jeszcze godziny. Na horyzoncie Paryż znikł jak cień miasta, niebo zlało się w jeden chaos przestrzeni, szary deszcz padał ciągle, padał uparcie. (C. d. n.)

KORESPONDENCYE „TYGODNIA“

Wschowa. W październiku 1878 r.

(*Fryderyk Bodenstedt dramaturgiem. Powieść holenderska. Materyalizm idealizuje. Komedya Ferriera Pawła. Z Poznania.*)

Dramat jest dziś najdonośniejszą gałęzią poetyckiej sztuki. Imię dramaturga rozbiega się szybko nietylko po kraju autora, ale i dalej, po za granice ojczyzny wychodząc. Oklaski wieczorne w teatrach, wielkie audytoryum, w końcu bajeczne honorarya scen niemieckich, francuskich i angielskich, mogą złudzić i najidealniejszego, zewnętrznych korzyści nie pożądającego pieśniarza. Ale ba — kiedy ani oklaski, ani honorarya, ani nawet dobra wola (bo każdy ma dobrą wolę stworzyć arcydzieło, jak wiemy) piszącego nie zrobią z nie-dramaturga teatralnego poety. Z tego powodu zostaje 99/100 dramatów, które się w Niemczech corocznie piszą, między makulaturą księgarską, nie wyszedłszy nigdy przed teatralnego widza. Mimo tylokrotnych doświadczeń piszą jednak prawie wszyscy autorowie niemieccy dramata, nawet tacy, którzy się

na innem polu głośniejszej sławy doczekali, bo teatr wabi. Taki np. Fryderyk Bodenstedt, znany tłómacz poezyi licznych języków, a dalej sam oryginalny liryk bawi się od czasu do czasu w dramaturga. Ponieważ prace jego w tym kierunku nie mają warunków żywotności, przeto nie doczekały się dotąd wystawy na scenach niemieckich. Niedawno temu zmiłował się nad poetą węgierski teatr w Pressburgu, wystawiając jego tragedyą pięcioaktową pt: „Kaiser Paul“. Ponieważ praca ta wyszła z pod prasy u Grote'go w Berlinie, można się jej bliżej przypatrzyć. Bohaterem jest car Wszechrossyi, Paweł, w dziejach znany jako człowiek chwiejny i niesamowiedny. Taki charakter jest od razu niedramatyczny, bo dramat, jako obraz życia skupionego w kilku godzinach (na scenie), więc szybszego od rzeczywistości, potrzebuje charakterów większych rozmiarów. Namiętność na scenie musi przewyższać namiętność rzeczywistą o cały ton, władze ducha (duma, chciwość sławy i td.) muszą występować stanowczo, w ostrych konturach. Naprężona akcya dramatu wymaga niezwykłości ludzi, bo gdybyśmy na scenie tylko fotografię rzeczywistego życia widzieli, widzielibyśmy nudną, gdyż tylko dyalogowaną powieść, a nie dramat. Ztąd nie nadają się charaktery chwiejne, niecałolite do dramatu; mogą one być przedmiotem powieści psychologicznej, ale scena potrzebuje czynu, a słaby człowiek nie czyni, bo go inni pchają. Pospolity widz powie może, widząc takiego Otella, lub Makbeta, że to przesada, ale znawca wie, iż ludzie tacy są prawdziwi; różnica między dramatem a życiem ta: że na scenie zsuwa autor czyny szybciej aniżeli życie, które wolniej operuje. Car Paweł nie jest charakterem dramatycznym, a gdzie podstawa chwiejna, tam i gmach, na niej zbudowany, utrzymać się nie może. Jednak artyście-pisarzowi przysługuje prawo przerobienia charakteru wedle potrzeby, odpowie kto. Racya, ale Bodenstedt tego nie uczynił, bo *jego* Paweł jest Pawłem historycznym. Nietylko Paweł, ale i reszta figur nie ma werwy dramatycznej. Wszystkie charaktery chorują na niestanowczość, co w dramacie miejsca mieć nie powinno, bo tu szybki czyn potrzebny, zły czy dobry obojętne, stosownie do materyału. Skutkiem tej połowiczności charakterów, jest nudna, rozwlekła akcya, czyli niescenicznośċ utworu. Niesceniczność zaś jest kardynalnym grzechem każdego dramatu, choć estetycy niemieccy główny przycisk na ideę kładą. Pewno, że idea powinna być czerwoną nicią, choćby już jako wygodny środek do podtrzymania jedności akcyi, ale i obrobienie tej idei, czyli forma, albo „robota“ do rzeczy ważnych należy. Dramaturg powinien pisać przedewszystkiem dla sceny, bo do wyrażenia pewnej myśli znamy dość innych form; a scena bez roboty obyć się nie może. Ztąd widzimy, że najpospolitszy wodewil francuski, umiejętnie opracowany, ma więcej powodzenia, aniżeli głębokiej myśli dramat niemiecki (Bücherdrama). Z tym warunkiem nie chcą się Niemcy liczyć i dlatego nie mają dotąd narodowego dramatu, bo Szyler i Lessing nie wystarczają przecież dla sceny tak wielkiego ludu. Bodenstedt'a tragedya, choć autora w Pressburgu oklaskali, kilkakroć wywołując, nie może się na scenie utrzymać.

— Pisząc w przeszłej korespondencyi o Edmundzie de Amicis, powiedziałem, że polscy autorowie nie mają tyle powodu do skargi na publiczność, ile włoscy. Ale i włoscy pisarze stoją jeszcze świetnie w porównaniu z kolegami Holandyi. Tam grasuje dotąd owa brzydka choroba, którą by można „obcomanią“ nazwać, w całej pełni. Wszystko dobre, byle obce, wszystko miłe, byle nie swoje. Choroba ta panowała kiedyś w całej Europie na korzyść okazów Francyi; znikła ona dziś w Niemczech, częściowo i między Słowianami, ale poczciwych Holendrów dotąd nie odstąpiła. Mieszkańcy Niderlandyi wszystko czytają, byle było ekstraktem nie krajowego mózgu, a są tam podobno nawet całe koła towarzyskie, które blagują nieznajomością rodzinnej literatury. W rządowym teatrze Brukselli wystawiają tylko opery i dramata francuskie, ignorując zupełnie narzecze flamandzkie. Nie chodzi o to, aby Francuzów wykluczyć, boć język francuski jest nietylko urzędowym ale i codziennym światlejszej części narodu, jednak nie wolno pomijać drugiego języka, którym uboższa mówi połowa. Niemcy chcieliby oczywiście, aby tylko narzecze flamandzkie w Belgii panowało, bo ono germańskiemu pokrewne, a Niemcy mają na sąsiada apetyt. Może to powód, że Holendry przenoszą żywioł francuski nad własny, czując, iżby się rychło z Niemcami zlali, gdyby się uprawianiem własnego języka do pobratymców zbliżyli. A Holandya nie chce mieć nic wspólnego z Germanią, broni się wszystkiemi siłami przed objęciem zbyt czułem sąsiada, przed tem objęciem, co się rychło w żelazną obręcz zamieniać zwykło. Niechże to poczucie odrębności narodowej będzie choć w części uniewinnieniem obojętności dla literatury krajowej. Co prawda, nie bardzo też literatura Holendrów kwitnie, jak inaczej być nie może tam, gdzie nie ma z góry poparcia. Ostatnim znakomitszym poetą Holandyi był Jakób van Lennep, który niedawno temu umarł, zostawiając po sobie cały szereg poetyckich robót. Jest on jako pisarz na wskróś Holendrem, bo nietylko temata swoje z dziejów krajowych bierze, ale nawet, że tak powiem, charakter holenderski w manierę swego pisania przelał. Powieści jego mają bardzo szerokie ramy, a między obszernemi ramami znajdują się obrazy i sytuacye jeszcze szersze. Wiele opowiada, gawędzi raczej, rozwija z namysłem, motywuje zanadto drobiazgowo; wszystko to właściwości holenderskiego charakteru. Napisał on cały szereg powieści historycznych, w których skrystalizował dzieje swego narodu, od zajścia rzymskiego począwszy aż do dziś, jak to nasz J. I. Kraszewski obecnie czyni,, a w Niemczech Gustaw Freytag. Jako powieściopisarz jest Jakób van Lennep nadzwyczaj miłym opowiadaczem, miejscami i humorystą, a zawsze ciepłym i świeżym poetą. Jako dramaturg, bo pisał także tragedye i komedye, nie zjednał sobie wielkiego powodzenia. Ostatnie prace Lennep'a podziałały tak dalece na umysły, iż się niebawem cała szkoła naśladowców mistrza utworzyła. Dzisiejsi powieściopisarze Holandyi: Cremer, Jan ten Brintz, Keller, Busken-Huet, piszą wszyscy romanse społeczne, który kierunek i Lennep uprawiał, doszedłszy z powieścią historyczną aż do najnowszych czasów. Biorą oni przedmioty swoje z codziennego życia, które z wielką prawdą kopiują, nie przekraczając nigdy granic decorum. Możnaby ich porównać z Pawłem de Kock, ale przyzwoitym. De Kock, jak wiadomo, sądził, iż w powieści nie potrzeba się troszczyć o estetykę, bo powieść, to całe życie realne, przedkulisowe i zakulisowe. Ponieważ jednak życie zakulisowe człowieka przypomina zanadto zwierzę, a sztuki zadaniem nie może być „obrzydzenie“ ludzkości, dla tego mylił się Kock. Odkrywanie nagości cielesnej, materyalnej, człowieka, nie może mieć w sobie poezyi, rzecz inna z nagością duchową. Tej krańcowości wystrzegają się powieściopisarze holenderscy z wielką ogłędnością, i dla tego tworzą lepsze obrazki od Kocka, bo nie odrażające. Ale sposób pisania mają ten sam. Tak samo, jak on, lekkiem piórem szkicują, śmiejąc się dość często swobodnym humorem kochających życie i ludzi krytyków. Śmiech taki ozłaca nawet zbyt realny obraz. Jedną właściwość mają Holendrzy: oto tę, że nadzwyczaj drobiazgowo malują.

— Stoimy dziś w ciemnościach, które zwykle epoki przejściowe otaczają, na rozstajnych stoimy drogach, dokąd się zwrócić? nie wiedząc. Języki nasze splątały się, myśli pomięszały, ręce opadły, bo poezya wyrzekła ostatnie słowo skargą „pieśniarzy rozpaczy“, a i filozofia tak samo zakończyła. Ciemno! Czuje to każdy myślący, ale nie wszyscy o tem wiedzą, lub wiedzieć chcą. Coś się gotuje w łonie czasów obecnych, coś wielkiego, co ma znów opromienić dalszy pochód ludzkiego rodu, bo stare bogi straciły kredyt u inteligencyi. Co? Na takie ciężkie pytania korespondent żaden nie odpowiada, choćby wiedział, tem mniej ktoś, co nie jest tyle zarozumiały. Ciemno i basta; jak będzie, tak będzie, bo jakoś być musi, jeszcze raz basta. Ale takie pessymistyczne basta nie wszystkim smakuje. Sunt, qui biedzą mózgownice wymyślaniem teoryi mających ludzkość uszczęśliwić. Dotąd idealiści tą pracą syzyfową się zajmowali, aż tu nareszcie pisze niemiecki myśliciel: „Die Ideale des Materialismus, Lyrische Philosophie von Armand Pensier“. Już sam tytuł jest zabawny, a treść nader dziwaczna. Materyalista Pensier chce dowieść, że można bez nadprzyrodzonego porządku mieć idealną, ludzkość zagrzewającą wiarę. W luźnych, zwyczajem nowelisty szkicowanych ustępach prawi Pensier o ideałach materyalizmu, o bóstwie samowiedzy, o religii płynącej z nauki, o konieczności i tam dalej. Są to wszystko, jak widzimy frazesa, imponujące, bo niezrozumiałe i upstrzone w dykcyą niemieckich filozofów, czyli w formę nader głośno brzmiącą. Krytyki takich prac pisać nie można, warto tylko dwie rzeczy powiedzieć. Nasamprzód powinni panowie tacy wiedzieć, że, aby dojść do rzekomej samowiedzy, potrzeba wielu lat nauki, nie licząc już wrodzonych zdolności, do czego nie wszyscy sposobność mają, a potem pytanie: jakiemże prawem wywołujecie przeciw ślepej wierze ze zgrozą, kiedy wszystkie wasze hipotezy już jako hipotezy tej samej ślepej wiary potrzebują, bo dowieść ich ani sposób. We wieczność materyi np. trzeba koniecznie wierzyć, tak samo we wszystkie kosmologiczne wywody materyalizmu, bo wieczność materyi i niezmierzoności przestrzeni wystawić sobie nie może najlotniejsza fantazya poety, a cóż dopiero wytłómaczyć. Nie jednoż to, panie Pensier, czy osobistego Boga przyjmiesz, kiedy chcesz jakiegoś *prawa* dla ludzi nadludzkiego, czy też nazwiesz tego Boga inaczej np. koniecznością czynów, skutkiem poprzedników, albo jak tam chcesz. I w to i w to wierzyć trzeba, a która wiara lepsza? — znów nie należy do korespondenta. Otóż... Podkładanie materyalizmowi jakichś tam przyszłościowych prawd, nie ma wielkiego sensu.

— Zabawną rzeczą, jak Francuzi małemi środkami wielkie efekta wywołują. Dla przykładu najnowsza komedyjka (3aktowa) Pawła Ferrier'a „Pokojówka“. Oto: Montmoreau jest przyjacielem drugiego przyjaciela, a ten drugi przyjaciel, Perceval zauważył, że się pani Montmoreau (Hortenzya) trochę nudzi, bo pan mąż lubi grywać w bilard, po bulwarach się włóczyć, wino spijać, słowem bawić się po za domem, zamiast w domu przy żonce siedzieć. Toć to gratka dla francuskiego dramaturga, bo z takiego stosunku można łatwo wybić kapitał nietylko komiczny ale i tragiczny wedle indywidualnego talentu autora. Ponieważ się i Perceval nudzi, więc chce się zabawić kosztem przyjaciela. Zaczyna się tedy zwykły romans między żoną przyjaciela a przyjacielem przyjaciela. Z razu stracha się pani Hortenzya, ale powoli, powoli jakoś się wszystko układa. Ale Perceval'owi jako praktycznemu, wolnych zasad młodzieńcowi, nie chodzi o poezyą romansowania, bo wierzy tylko w istnienie rzeczy namacalnych. Ma on dwa mieszkania: jedno dla siebie, dla gości, drugie także dla siebie, ale tylko dla siebie, czyli dla

*

kochanek i td. Do tego drugiego mieszkania chciałby koniecznie panią Hortenzyą dostać. Ale jak? W chwili cieplejszej ofiarował pani kluczyk do tego mieszkania, ale poczucie niewieście wspina się jeszcze przeciw grzechowi. Nie, to nie — myśli sobie Perceval; tam do licha, ktoby się mordował nad pokonaniem niby cnotliwej kobiety. W tym czasie angażuje pani nową pokojówkę, Julią Morin, śliczniuchną, miłą koteczkę, zwyczajny typ francuskich (w komedyach) pokojówek. Pan Montmoreau, który potrzebuje zmiany, jak wszyscy ludzie, co nie pracują na chleb albo dla jakiej idei, spostrzega, że Julisia ma miluchną buzię. To samo widzi przyjaciel. Więc dalejże obydwaj do pokojóweczki. Ale Julisia ma swój rozumek, więc tak kalkuluje: pan Montmoreau ma żonę, więc cóż mi po nim — pan Perceval jest starym kawalerem, a nie byłby pierwszym tego gatunku stworzeniem, gdyby się np. ze mną ożenił; panu Montmoreau mogę dać potajemnie buzi, bo to mój pan, więc mi potrzebny, a w panu Perceval'e mogę się rozkochać, licząc na możliwe małżeństwo. Tedy pokojóweczka wodzi za nos Castora i Poluksa. Obydwaj zabierają się do niej, obydwaj oszukiwani. Tymczasem odbywa się w duszy pani Hortenzyi walka psychologiczna, bo i ona romanse w przedpokoju widzi. Gniew na męża, zazdrość o kochanka sprawiają, iż bierze od Perceval'a klucz do owego mieszkania. Idzie, czeka, ale miły nie przychodzi, bo miał właśnie bójkę z przyjacielem, który go zastał przy Julii. Siedząc tak w mieszkaniu obcego człowieka, uczuwa nareszcie niewłaściwość swego postępowania, rumieni się, cierpi i wraca do męża. Następuje zgoda między małżonkami, wypędzenie przyjaciela i pokojówki i koniec. Przedmiot to, jak widzimy, ani oryginalny, ani nawet przyzwoity, sto razy obrobiony, a przecież umie Ferrier zająć widza przez kilka godzin. Nie pomysł, który jest lichy, nie wyższa kompozycya, nie dykcya podnosiła zajmują widza, ale poprostu robota, czyli technika. Niemiec np. byłby z tego nędzną farsę zrobił, a Francuz „ukuł“ cacko.

— Ponieważ większa połowa dzisiejszego przeglądu zajmuje się teatrem, dodam jeszcze parę słów o scenie poznańskiej. Występy zimowego sezonu zaczęły się tam komedyą K. Zalewskiego, premiowaną na waszym konkursie. Rzecz dziwna, jak się gusta różnią. Wasz konkurs wieńczy „Artykuł 264“, a poznańscy krytycy piszą: licha to farsa, charaktery karykaturami są a nie typami, nędzna robota i td... Nie mówię tu o „Dzienniku Poznańskim“, bo poczciwy monitor wielkopolski, dziadzio sobie pokaszlujący, chwali wszystko ex officio, wszystko, co polskie. Może to ładne, szlachetne, ale czy zawsze korzystne, nie wiem. Za to uwziął się „Kuryer Poznański“, drugi monitor, organ katolików, raczej ultramontanów, nietylko na teatr, ale wogóle na instytucye wielkopolskie. Widzę tu w „Kuryerze“ od pewnego czasu niezmierne ożywienie. Artykuł wstępny po artykule, rozprawa po rozprawie, czego po śmierci ks. Koźmiana nie było. A trzeba wiedzieć, że ultramontanie umieją wojować, jeżli tylko chcą, bo nie przebierają w środkach. O nazwanie kogoś „młokosem, warchołem, nareszcie głupcem“ wcale im nie chodzi, tem więcej, że ich rewerenda niby przed daniem honorowej satysfakcyi broni. Jednak, odmówić nie można „Kuryerówi“ starannej redakcyi i — od niejakiego czasu — znajomości stosunków i potrzeb wielkopolskich.

— Literatura w Poznaniu nie kwitnie, jak pewno wiecie. Ilekroć słyszę chwalących się Poznaniaków na temat: my przednią inteligencyą Polski, pytam zawsze: a dowody, a owoce, bo tylko po tych poznać można. Aha! Nie sama literatura świadczy o wysokim stopniu inteligencyi. Więc cóż u licha, jeżli nie kwiat mózgu, bo myśl w formę żywego słowa uchwycona. Nie warto mówić. Poznań nie wiele produkuje, a jeszcze z tego „nie wiele“ odciągnąć trzeba „bardzo wiele“ prac, nie należących de facto do Poznania, bo płynących z głów nie poznańskich. W ostatnim tygodniu wyszła tam powieść Anieli Milewskiej „Matka artysty“, autorki, rokującej wielkie nadzieje. *T. Jeske-Choiński.*

Piśmiennictwo polskie.

Replika na recenzyą pierwszego tomu Biblioteki filozoficznej.

Recenzya pierwszego tomu Biblioteki filozoficznej umieszczona w 61szym numerze „Tygodnia“ zmusza nas do kilku następnych uwag i sprostowań, o których umieszczenie Szanowną Redakcyą najuprzejmiej prosimy.

Uwagi nasze i sprostowania dotyczą następnych twierdzeń i zarzutów krytyki:

1. że już kilkakrotnie próbowano zapełnić w naszej literaturze brak przekładów pomnikowych dzieł filozoficznych

2. że dzieła przedewszystkiem dla szerszej publiczności przeznaczone, powinny być opatrzone we wstęp i przypisy, któreby historyczne stanowisko autora charakteryzowały dostatecznie.

3. że Discours de la méthode może mieć dzisiaj jedynie tylko historyczne znaczenie.

4. że o wpływie filozofii tego myśliciela na następców nic się nie dowiadujemy.

5. że nie uwydatniono historycznego znaczenia jednej z najgłówniejszych tez *Dekarta*, mianowicie w bezwzględnym rozdziale pomiędzy duchem i materyą, który był punktem wyjścia dla najbliższego reformatora filozofii, dla Spinozy.

Że wydawca w ogóle zanadto wziął w opiekę autora wobec czytelników zaznaczając zaledwie najgrubsze błędy, każdą natomiast trafniejszą myśl podnosi z przesadnem uwielbieniem; Że przypiski informacyjne nie są dość ścisłe.

Nie wiadomo nam istotnie, czy u nas kiedykolwiek „próbowano zapełnić brak przekładów pomnikowych dzieł filozoficznych, w całości Kartezyusz dotąd nie jest tłómaczony, Monteigne, Bacon, Condillac, d'Alemhert ledwie z nazwisk znani szerszej publiczności. Niewiemy nawet, czy się kto z myślą tłómaczenia ich nosił. Wprawdzie pisarze nasi z ośmnastego wieku znali doskonale jeżeli nie wszystkich, to najznakomitszych z tych filozofów i jedynie temu wpływowi zawdzięczamy nagłe i silne podniesienie się literatury naszej z upadku, rozbudzenie się krytycznego badania, dojrzałość polityczną tak wielką, że gdyby były nastąpiły o lat dwadzieścia prędzej, naród nasz nie byłby doszedł do takiej niedoli, w jakiej dzisiaj jeszcze pozostaje. Co dobre wydało owoce podówczas to i dzisiaj pożytecznem być może, ponieważ równe sposoby równe sprowadzają skutki. Jeżeli zaś sz. krytyk odnosi te próby do zamierzonego w Warszawie wydania *Biblioteki filozofii pozytywnej*, (?) to naszego zadania z tą Biblioteką za jedno przyjąć nie możemy. Teoryą filozofii pozytywnej ogłoszoną przez Comt'ea przejęło się wprawdzie wielu znakomitych badaczów na wszystkich polach nauki, ale jeżeli rozważymy rezultat do jakiego doszli, to w niczem się nie pokaże różnym od kierunku i rezultatu, do jakiego dochodzili znakomici pisarze z czasów przedpozytywnych, pisarze tacy, jak Voltaire, Condorcet, Volney, Bernardin de St. Pierre, Jusieu, którzy porównani z Bucklem, Leckym, pisarzami zaiste pełnymi erudycyi i bystrości, mają zawsze jeszcze nad nimi wyższość artyzmu. Gdyby atoli wszystkie pisma pisarzów pozytywistycznych z wyjątkiem Buckla jednego zaginęły, (wiadomo, że Darwin wyparł się pozytywityzmu, bo istotnie darwinizm i pozytywizm wykluczają się wzajemnie?), to nauka istotnie nie wieleby na tem straciła jeżeliby tylko jedno dzieło Comte'a pozostało. Jedno więc tylko dzieło Comte'a uważamy jako pomnikowe z całego pozytywistycznego księgozbioru, nie wiemy zaś o tem, aby ktokolwiek był się zabrał do przytłómaczenia tego dzieła, nawet najlepsze streszczenie nauki Comte'a wykonane przez olbrzyma erudycyi Littrego, nie jest dotąd na polski język przełożone.

Co do nauki samego Comte'a myśliciela zaiste jednego z najpotężniejszych, przyznać musimy, że na zawsze w historyi doktryn filozoficznych będzie zajmowała miejsce bardzo wybitne. Ale żeby w niej było odkryte arkanum filozofii, tego przyznać nie możemy. Nauka Comte'a umysł dostatecznie przygotowany wzmocni i stwierdzi w kierunku krytycznego badania, ale umysł, który po za nią niczego więcej nie będzie widział, przygniecie swoją systamatycznością zupełnie w taki sam sposób, w jaki Arystoteles przygniatał scholastyków. Pod względem tej systematyczności Comte, podobny jest bardzo do Arystotelesa, albo do Hegla, i ten sam fenomen, który się pojawiał na szkole Arystotelesa i na szkole Hegla, zaczyna się pojawiać na szkole Comcistów, to jest wyłączność i brak nietylko zrozumienia, ale nawet chęci zrozumienia mnóstwa innych objawów naukowych i psychologicznych o wiele więcej uzasadnionych, aniżeli naprz. frenologia Comte'a.

Rzućmy chociażby jedno spojrzenie przy tej okazyi na nauki pozytywizmu. Trzy są wybitne teorye, które całą jego naukę charakteryzują, najprzód uczy: że umysł ludzki przechodził od samego początku i przechodzi dotąd trzy fazy: teologiczną, metafizyczną a naostatku pozytywną. Otóż żadną miarą zgodzić się nie można, aby pierwszym stopniem umysłowości był stan teologiczny, ponieważ wiadomości o ludach na nizkim stopniu oświaty stojących zaprzeczają temu. Drugą teorją jest jego podział nauk, przeprowadzony z nadzwyczajną bystrością, najlepszy, jaki zrobiono po Baconie i d'Alembercie, ale mający ten błąd zasadniczy, w następstwach nadzwyczaj zgubny, że psuje jedność nauk. Trzecią teoryą jest jego metoda, która polega w ogólności na tem, aby nie przyjmować do wytłómaczenia zjawisk żadnego czynnika, którego istnienie nie jest dowiedzione. W szczególności, o ile dotyczy psychologii, nie należy więc przyjmować istnienia duszy. Tymczasem, co do nauk nie psychologicznych, kto zna mianowicie mistrzowskie rozprawy Lavoisiera, ten się mógł przekonać, że ta metoda z zadziwiającą jasnością przez nich i przez innych zastósowaną była, dawno przed Comte'm. Co do psychologii zaś, to prawda, że filozofia pozytywna pokomtowska (Comte bowiem wcale psychologii nie uznaje, tylko frenologią) tłómaczy zjawiska psychologiczne bez tej hypotezy, prawda i to, że żaden z filozowów w dostateczny sposób istnienia duszy nie dowiódł, chociaż Kartezyusz zrobił to jeszcze najlepiej a po Kartezyszu Lotze, lecz nie tylko ludzie zwyczajni, ale nawet najgłębsi badacze zawsze będą prędzej czy póżniej wracali do tej idei, dla tego, że do niej prowadzi

mnóstwo zagadek świata i sama polotność myśli ludzkiej. Jeżeli zaś w tej metodzie Comte'a ma być wielka zasługa, to się ona należy de la Mettriemu i jego towarzyszom. Z tych oto powodów nie uważamy Comte'a za ostatni wyraz wiedzy ludzkiej, i z tych powodów zamierzonego wydania Biblioteki *pozytywnej* nie możemy przyjąć jako równe zadanie z naszem. Po Baconie i Kartezyuszu nastąpiło odnowienie nauk, po filozofii Comte'a nie zaszły zmiany tak znaczne.

Nie poddać się żadnej z doktryn wyłącznie, z każdej przyjąć co najlepszego podaje, myśl prowadzić do takiej trzeźwości i niezależności, aby z każdej sobie sprawę zdać umiała, nawet i z pozytywizmu. to jest celem naszego wydawnictwa. Filozofia pozytywna a filozofia w ogóle, to niewszystko jedno.

Co do drugiego punktu aby scharakteryzowane było historyczne stanowisko autora, powiada krytyk, że nie chodzi tu bynajmniej o studyum, lecz o treściwe przedstawienie stosunku Kartezyusza do innych, przed nim i po nim idących. Żądanie to na pozór tak słuszne, w wykonaniu regułą być nam nie mogło, jeżeliśmy chcieli zrobić początek wprowadzenia w społeczność naszą znajomość nauk Kartezyusza.

Kartezyusz wydany jest przez nas dla czytelników chociażby takich, którzy nigdy nic o filozofii nie czytali. Gdybyśmy więc poszli za zdaniem sz. krytyka, to musielibyśmy nieznaną jego wielkość porównywać z innemi nieznanymi, albo napisać całą historyą nowszej filozofii. Tego zaś znowu krytyk nie żąda, tylko żąda treściwego przedstawienia, którebyśmy wykonać mogli, używając do tego kilka kartek z pierwszej lepszej historyi filozofii. Gdybyśmy tak byli postąpili, byłoby błędnie, myśmy postanowili wziąć Kartezyusza jako punkt wyjścia, i dla tego postać jego staraliśmy się przedstawić jak najwyraźniej, aby potem następnych filozofów módz z nim porównać. Gdyby chodziło o nazwiska filozofów, to do „Giordana Bruno, Galileusza, Campanelli, Vaniniego“, których nam przytacza pan krytyk, możemy mu jeszcze dodać Telesiusza, Cardana, Cusana, Rogera Bacona i innych ale nam o nazwiska wcale nie chodzi, tylko o charaktery dokładne. Ażeby zaś charakteryzować te wszyskie postaci, nie tylko że nie było miejsca, gdy sam życiorys Kartezyusza zabiera stron 89, ale nie byłoby sensu, gdyż utworzyłaby się w głowach czytelników na pierwszym wstępie zaraz gmatwanina, któraby prócz szelestu szumnych nazwisk żadnego nie przyniosła pożytku. Wszelkiego zaś dołożyliśmy starania, ażeby postać Kartezyusza przedstawić jak najwyraźniej, nie ze względu na jego czas, lecz ze względu na nas, którzy tak bardzo metody jego jeszcze potrzebujemy, wszyscy, wszyscy. Kartezyusz dziś jeszcze jest żywy, dzisiaj jeszcze, dzisiaj Francya karmi się jego nauką, jego Rozprawa o metodzie umieszczona jest w wydawnictwach we Francyi najpopularniejszych, wszyscy historycy literatury francuskiej z uwielbieniem o niej mówią, dzisiaj jeszcze jest wzorem zwięzłej logiczności stylu. Więc nietylko historyczne ma znaczenie Kartezyusz, ale żywe. Wielki myśliciel przedstawia nam historyą swego umysłowego rozwoju, i to nie ma być pouczające i dzisiaj jeszcze?

Zarzut że o wpływie filozofii tego myśliciela na następców nic się nie dowiadujemy, każe nam się domyślać, że krytyk nie uważał na to, cośmy mówili na stronie 62 i następnych. Nie rozwodząc się nad tem, co tam Mallebranche albo Geuliux pisali, ponieważ to są postacie zbyt podrzędne, wykazaliśmy zgubny wpływ, jaki jedna z zasad Descartesa nietylko wywierała u nas, ale dzisiaj jeszcze na naukę i sposób myślenia wywiera. O Spinozie mówić byłoby niewcześnie, bo on ma być przedmiotem osobnego studyum, a powiedzieć, że on rozwijając dalej system Kartezyusza doszedł do panteizmu, byłoby tyle, co nic nie powiedzieć, do tego trzeba bowiem znajomości tego co jest panteizm, czego u czytelników nie suponujemy. Leibnitza także jednem słowem zbyć nie można. Chcąc zaś wymienić wszystkich następców Kartezyusza, trzebaby z wyjątkiem realistów i pozytywistów wymienić wszystkich filozofów siedmnastego, ośmnastego i dziewiętnastego wieku, których jest legion. Czy tego żąda od nas sz. krytyk? A jednak charakteryzując dość wyraźnie dedukcyonistów, objęliśmy wszystkich tych filozofów od razu. Co więcej, wymieniliśmy tych nawet dedukcyonistów, którzy nas bliżej obchodzą, więc Hegla, Schellinga, ponieważ mieli u nas uczniów, takiego Mochnackiego, Gołuchowskiego, Kremera i t. d. Lecz sz. krytyk nie czuje, że to obecne już wyliczanie jest przykre, dla nieobeznanych bowiem z rzeczą mówimy o żelaznym wilku, dla obeznanych zaś są to rzeczy znane. Sz. krytyk zdaje się żądać, aby każdy pisarz od razu rozłożył cały swój towar wiedzy, w takim zaś razie musi go mieć bardzo mało.

Walny niezmiernie jest zarzut piąty, że nie uwydatniono historycznego znaczenia jednej z najgłówniejszych tez Dekarta, mianowicie o bezwzględnym rozdziale pomiędzy duchem i materyą, który był punktem wyjścia dla najbliższego reformatora filozofii, dla Spinozy. Ten oto zarzut wzbudza w nas podejrzenie, które nam się już powyżej nasuwało, że sz. krytyk nie zna pism samego Kartezyusza, przestając na określeniu jego filozofii jakie są dane w historyi. Gdyby znał pisma jego, nie byłby tego zarzutu zrobił. Dla czego? Oto myśmy nie uwydatnili tej tezy z tego powodu, że jej Kartezyusz nie uwydatnił. Całe nasze studyum o Kartezyuszu, bo tak je wobec tej krytyki nazwać musimy, oparte jest na starannem zaznajomieniu się z wszystkiemi pismami jego. (Dok. nast.)

TYDZIEŃ LWOWSKI.

Lwów dnia 3. listopada.

Darujcie czytelnicy, jeżeli kronikarz „Tygodnia“ choć raz do roku w dzień zaduszny, ulegając tylu różnorodnym liryczno-tęsknym wpływom rozpłacze się przed wami. Proszę was, jak tu się wstrzymać od łez, gdy niebo lwowskie mimo ukończonych kuczek żydowskich, mimo zamkniętych obrad sejmu, dzień po dzień od rana do nocy mazgai się nakształt rozkapryszonego dziecięcia. Myślałby kto, że nam tu czego brakuje, albo nam krzywdę kto zrobił. Nie—owszem ustatkowaliśmy się dobrowolnie jak ludzie, którym wreszcie rozum przyszedł do głowy, bo nawet wyrzekliśmy się wszelkich programów na przyszłość i idziemy tak sobie żółwim krokiem naprzód w kółko ani patrząc przed siebie, ani oglądając się za siebie, z tem przekonaniem, że nareszcie dojdziemy do tego samego miejsca zkądeśmy wyszli. Każde kołowanie, czyli poddawanie się rządowi kół i kółek ma zawsze tę dogodność, że nie pozwala nic myśleć, bo taki samozwańczy proces mózgowy najczęściej przyprawia o kołowaciznę, która da się usprawiedliwić jeszcze u owiec i to podczas lata, ale nie u takich dojrzałych ludzi, za jakich się mamy. Najlepiej tedy patrzeć w niebo, bo to przynajmniej ochroni od zawrotu. Patrzymy tedy w niebo nasze austryacko-węgierskie, w niebo jesienne czarno-żółte, a że ono teraz płacze, więc i nam nie wypada czynić co innego tylko ocierać łzy i grozić Moskalom w przekonaniu, że za te wszystkie nieprawości jakich się w Bułgaryi dopuszczają, pan Bóg kiedyś ciężko ich skarze na żonach i dzieciach własnych.

Smutne usposobienia nasze prócz szlochającej aury powiększa jeszcze widok tysięcy wieńców grobowych i rozwieszonych po oknach sklepów, sążniste afisze przylepione i stojące na drogach, że czas pomyśleć o zmarłych, których już ta galicyjska bieda opuściła. Pod tym względem przyznajemy, iż żal nasz nie ma tak bardzo racyonalnej podstawy od czasu, gdy pierwsze galicyjskie stowarzyszenie pogrzebowe zwane „Concordia“ ogłosiło program taniej i przyjemnej dla oka, z uwzględnieniem najświeższej mody, działalności. Bo proszę was, znajdźcie gdzie na całym Bożym świecie przyjemniejszą jazdę na tamten świat jak we Lwowie. Karetą na resorach pod baldachimem w towarzystwie złoconych i wyróżowanych jak zwiędła elegantka aniołów, obok pysznej willi p. Rychtera pomyka sobie nieboszczyk na Łyczaków niby na Pohulankę i ani mu to w głowie, żeby tak miłe istoty ze złoconemi rękoma jak owi aniołowie, mogły go gdzieś na wieczny spoczynek odprowadzać... Przy takiem urządzeniu, towarzystwo usprawiedliwia swoją nazwę; — rzeczywiście udało mu się doprowadzić do zgody życie ze śmiercią.... I rzeczywiście, dziś już śmierć nie istnieje: fotografia, która u nas we Lwowie już wznosi się do wysokości czwartego piętra, czego dowodzi p. Trzemeski lokujący się na poddaszu hotelu Europejskiego, zostawia potomności drogie rysy odchodzących na tamten świat osób; — fonograf znowu uwiecznił ich głos w cyntofoliowym papierze. Nie dalej jak we Wtorek pan Abakanowicz przedstawiał na posiedzeniu Towarzystwa przyrodników ten nowy aparat Edisona, który, daję wam słowo, mówi daleko lepiej niż papuga, daleko logiczniej niż wielu mowców parlamentarnych. O ile słyszeliśmy, wrażenie na słuchaczach było nadzwyczaj silne, bo i sam fonograf aby sobie nadać więcej powagi udawał, brzuchomówcę i tak jakby z po za grobu, wydobywał tajemnicze dźwięki. Nie dość tego, na placu Kastrum, pan Berger po dwakroć jednego dnia ścinał sobie głowę w obec publiczności, a mimo to żyje i wybiera się do odjazdu....

Nawet zasługa na polu bitwy w Bośnii, gdzie położyło się swój żywot w obronie cywilizacyi powszechnej, nie minie zmarłego — czytaliśmy w tych dniach, że dwaj polegli kapitanowie otrzymali krzyże po śmierci... jak im to musi być przyjemnie... Nic zatem nie brakuje już do szczęśliwości nieboszczyków, jak tylko pozwolić się im żenić po za grobem i brać sukcesye, bo zdaje nam się, nudno im musi być bez miłości. Głos już mają, więc trudno aby go tylko używać mieli do wotowania na posłów lub radnych, jak się to czasami zdarza.

Dzięki Bogu już w Hercogowinie spokój i demobilizacya, ale za to w Bułgaryi i Macedonii głowy muzułmańskie jak grad lecą. I u nas też mimo pozornego uspokojenia, nie jest tak

cicho jak się wydaje: socyaliści nurtują, a bandy uzbrojonych w siekiery rycerzy stoją po rogach ulic i ostrzą swe zęby z bardzo wojowniczemi intencyami, szczęście, że dotychczas ta ich gotowość wojenna, odnosi się do drzewa, w które szanowni Lwowianie zaopatrują się na zimę. W tych czasach łatwego przyrostu ludności, przybyło nam również około sto tysięcy głów nowych, pomimo że Sejm nie chciał dozwolić na pomnożenie posłów ze Lwowa... Tak czytelnicy moi, widziałem na własne oczy te głowy, czyste, gładkie i jędrne, a jednak pozbawione praw wyborczych. Niestety, są to jeszcze kapuściane głowy nieznające ani konstytucyi, ani autonomii, ani innych przywilejów wolnego narodu, choć przy wjeździe do miasta opłacają pogłówny konsumcyjny podatek... Mój mocny Boże, w dziewiętnastym wieku, pośród takiej niwelacyi i równości braterskiej ludów, dzieją się jeszcze takie krzywdy państwowe! — Ale dobrze im tak, dlaczego milczą, dlaczego nie zwołują zgromadzenia. — Wszak u nas prawo o socyalistach nie istnieje, a choćby i istniało, to wiadomo przecie, że wszelka władza wobec głów kapuścianych umilknie...

Nareszcie i my tu we Lwowie będziemy mieli kolej konną tramwajem zwaną. Zagraniczne konsorcyum podobno traktuje z miastem o wybudowanie takiej linii od dworca kolei żelaznej koło teatru do Żółkiewskich rogatek.. Potem, ale jak przyjdzie ochota Towarzystwu, ma ono zamiar przeciągnąć tę linię przez Ulicę Karola Ludwika, plac Maryacki na Łyczaków. Opłatę ma pobierać po 7 od pierwszego kilometra, a od następnych po 5 centów, co spowoduje miasto do trzymania oddzielnego inżyniera, aby jadącej publice owe kilometry wymierzał... Że tramwaje zdałyby się u nas, o tem nikt nie wątpi, zwracamy tylko uwagę ojców miasta, aby przy robieniu umowy, trochę się lepiej pilnowali, niż onego czasu przy zawieraniu kontraktu z Towarzystwem gazowem. Związać się jest bardzo łatwo, ale rozwiązać trochę trudniej, nawet przy pomocy takich prawników, jacy zasiadają w Radzie miejskiej...

No i cóż więcej słychać?

Nie wiele... Odczyty wloką się wobec pustych ławek o wykopaliskach trojańskich — Panna Służąca już znudziła się w teatrze lwowskiej publiczności: panie powiadają że zanadto sobie pozwala jak na sługę, a panowie że zanadto jest wymagająca i każe się kochankom pani żenić z sobą... Sztuka spiskowania w pięciu aktach cokolwiek zapóźno pokazała się we Lwowie. My wszyscy teraz jesteśmy tak lojalni, tak dobroduszni, że gotowiśmy zadenuncyonować i teatr i Dyrekcyą i samego Sardou c. k. policyi miejscowej, że nas do grzechu spiskowania namawiają.... Wszak Sardou nie jest obywatelem austryackim, więc na zasadzie ustawy o włóczęgach możemy go śmiało wytransportować do granicy bawarskiej i oddać w paszczę Bismarkowskiej ustawy anti-socyalistycznej... Potem każemy sobie napisać artykuł w której gazecie, żeśmy wypełnili obowiązek honorowy i obywatelski! Dalej jeden pan strzelił drugiemu panu po dwakroć w szyję, za naruszenie spokoju domowego i to na przedmieściu Żółkiewskiem, a wreszcie że tworzą się dwa nowe stronnictwa polityczne z łona posłów sejmowych, stronnictwa mogące zbawiennie oddziałać na przyszłość sprawy ojczystej... Wśród skrzętnych zabiegów jednej i drugiej partyi szukającej adherentów, darujcie że nie wypada mi zdradzać przywódców tych przyszłych stronnictw parlamentarnych, a zatem ograniczyć się muszę na wymienieniu tylko nazwy tych klubów którą powszechnie przyjęto: Jedno nazywać się będzie stronnictwem dziurawych mostów, a drugie stronictwem całych mostów!... ot i koniec. —

TEATR.

(„Ludwik XI", komedya w 5 aktach przez Kazimierza Delavigne. „Sztuka spiskowania," komedya w 5 aktach przez Scribego.)

W teatrze naszym od niejakiego czasu wieje znów duch poważniejszy; świadczą o tem same tytuły sztuk wymienionych na czele. Nie są to arcydzieła dramatyczne, ale w każdym razie utwory pisane na seryo i ze znanym zapasem talentu.

Ludwik XI ma pretensyą być wielkim portretem historycznym, ale w portrecie tym wielką gra rolę tendencyjne oświetlenie, i ztąd historyczna wierność portretu jest silnie nadwerężoną. Ludwik XI. przedstawiony jest jako potwór, wszystkie zaś dodatnie strony jego charakteru i panowania grubym cieniem zakryte. Delavigne w tragedyi swojej wytacza proces władzy królewskiej, i nie pozwala jej mieć obrońcy.

„Sztuka spiskowania" Scribego pożycza nazwy historycznej z dziejów Danii, ażeby na nich odwzorować spółczesne stosunki francuskie. Losy królowej Matyldy i Struenseego mogą służyć za temat do potężnego dramatu, ale Scribe zrobił z tego komedyę, chodziło mu bowiem tylko o przedstawienie politycznych słabostek i śmiesznostek stanu mieszczańskiego we Francyi, bezmyślności tłumów i szarych rządów kamarylli. Ani namiętna królowa Matylda ani jej niegodny kochanek nie okazują się nawet na scenie.

Rolę Ludwika XI. dźwigał pan Ładnowski. Jest to bez wątpienia po Franciszku Moorze najcięższa z ról naszego repertoaru. Dość powiedzieć, że Ludwik XI. przez dwa ostatnie akty ciągle jest umierający i umrzeć nie może. Ile to wysiłku kosztowało artystę? nie wiemy, i tylko domyślać się możemy, ale tego jesteśmy pewni, że nawet w Paryżu rola ta lepiej nie mogła być oddaną. Szczególnie scena zgonu była przerażającą kopią rzeczywistości. Co się tyczy innych artystów, to z wyjątkiem pani Parżnickiej (Karol VIII), da się im zrobić zarzut nie dość płynnej, nie dość rytmicznej deklamacyi. Dotyczy to szczególnie aktu pierwszego, który wyróżnia się od dalszych klasycznym pokrojem i wymaga zatem uroczystszej deklamacyi.

W „Sztuce spiskowania" główne role dostały się panom Dobrzańskiemu (minister Bautran) i Zamojskiemu (kupiec Burkenstoff) i obie umieszczone były jak najodpowiedniej, pomimo iż rola ministra nie jest wcale komiczną. Przedstawienie w ogóle było staranne.

Wiadomości z kraju i ze świata.

Literatura, sztuka i nauka.

⁂ *Rzecz o pojedynku* dra Rosenblatta, rozprawa która była drukowaną w Tygodniu wyszła w taniem wydaniu w Bibliotece Mrówki w celu spopularyzowania zdrowych zasad i oddzialywania przeciwko zgubnemu nałogowi jakim jest pojedynek.

⁂ Księgarnia Polska przygotowuje zbiorowe wydanie obrazków, nowell, szkiców, humoresek *Michała Bałuckiego*, które wyjdą w ładnem wydaniu.

⁂ W handlu księgarskim ukazało się nowe dzieło wydane w Poznaniu: *Gramatyka hebrajska* napisana przez X. A. Jaskulskiego, b. nauczyciela języka hebrajskiego w gimnazyum katolickiem w Ostrowiu.

Praca ta stanowi niezawodnie bardzo pożądany nabytek dla naszej lingwistyki.

⁂ Wyszła z druku broszura p. t. „Wełna pod względem handlowo-przemysłowym" przez Juljana Sypniewskiego.

Jest to odbitka szeregu artykułów pomieszczonych przez pana Sypniewskiego w tym przedmiocie w *Gazecie rolniczej*.

Głównym celem autora jest zwrócenie uwagi na tę kwestyą tak ważną w naszem gospodarstwie rolniczem grającą rolę i wywołanie dyskusyi, którąby mogła wszechstronnie! najkorzystniejsze sposoby produkcyi wełny u nas objaśnić.

⁂ Pan Ernest Świeżawski przygotował index do pomników Helcla, który będzie ważnem ułatwieniem dla szperaczy, w dopełnianiu dotąd uciążliwych querend. Praca tego rodzaju, aby mogła być użyteczną, winna obejmować nie tylko spis imienny, ale i rzeczowy. Rękopis pana Świeżawskiego, przesłany został do Krakowa, gdzie ma być wydany staraniem akademii umiejętności, pod okiem niestrudzonego jej pracownika, Michała Bobrzyńskiego.

⁂ Ciekawe zestawienie!

Od 14 lipca do 17 sierpnia wyszło w Królestwie polskiem przeszło pięćdziesiąt tysięcy egzemplarzy różnych ksiąg w języku... hebrajskim.

Książek w języku polskim wyszło przez ten sam czas zaledwie sto kilkanaście tysięcy egzemplarzy...

⁂ Dzieła pióra naszych ziomków, pomnażają wciąż bogactwo literatury zagranicznej; obecnie wyszła nowa edycya rozprawy Leona Susłowskiego p. t. „das Kegl. Preüs. Statistische, Büreau, und seine Dependention, Geschichte, Organisation und Verwaltung" w 8-ce, str. 168. Giżycki wydrukował w Wrocławiu po niemiecku rozbiór etyki Humego, przy której pomieścił ważny przyczynek naukowy: „Ueber die universelle Glückseligkeit als oberstes Moralprinzip." Strategia znalazła także kilku reprezentantów, i taki Dombrowski oficer wojsk pruskich wydał w Hanowerze historyą najnowszą wojsk niemieckich, zaś Orzecki opisał pochód Rosyan w Bułgaryi (wyszło także po niemiecku w Wiedniu).

⁂ Philipp Löbenstein, umiejętny tłómacz niemiecki, który literaturze naszej niejedną rzetelną oddał już przysługę, przełożył świeżo „Morituri," znamienitą powieść Kraszewskiego.

Przekład ten wyszedł już w druku i stanowi 1086 do 1090 tom lipskiej *Universal Bibliotek* Reclama.

P. Löbenstein opatrzył tłómaczenie stosowną przemową i dedykował je Kraszewskiemu w następujących wyrazach:

„Poecie-weteranowi, dumie polaków, J. I. Kraszewskiemu na jubileusz pięćdziesięcioletniej literackiej działalności, ofiaruje przekład jednego z jego genialnych dzieł Ph. Löbenstein."

Przy tej sposobności winniśmy dodać, iż w rzeczonej, cieszącej się olbrzymią popularnością bibliotece, wyszły już z rzeczy naszych: „Ballady i sonety" Mickiewicza — „Marya" Malczewskiego — „Pamiętniki Soplicy" Rzewuskiego — „Jermoła" Kraszewskiego.

⁂ Pan Walery Przyborowski wydał nową swą powieść p. t. „O cześć ojcowską."

⁂ Z nowości muzycznych zasługuje na uwagę śpiewnik Michała Zawadzkiego p. t. „Gęślarz wędrowny," który świeżo wyszedł z druku.

⁂ Dwie nowe planety przybywają do dawniejszej ich listy, Jedną odkrył prof. Peters w Clinton (Stany Zjednoczone) 18 września; drugą prof. Watson w Ann Arbor (tamże) 22 września. Liczba więc znanych ciał tej grupy wynosi obecnie 190.

Podróże.

⁂ Smutne wieści otrzymane zostały o losie ekspedycyi belgijskiej do środkowej Afryki. Ekspedycya ta rozpoczęła się przy jak najlepszych warunkach. Wszyscy, którzy należeli do niej, byli zdrowi i ożywieni wiarą w pomyślny rezultat tego przedsięwzięcia. W pierwszych dniach ekspedycyi nie zagrażało najmniejsze niebezpieczeństwo. Wkrótce jednak potem, ekspedycya spotkała na drodze swej obóz krajowców, od których otrzymała w darze, według obyczaju, żywą kozę na obiad. Zdaje się, iż według

tamecznych obyczajów, członkowie ekspedycyi powinni byli zaprosić naczelnika krajowców za dar ten na obiad. Tymczasem z nieświadomości nie zastosowali się do owych prawideł miejscowej etykiety. Nieświadomość tę zbyt drogo okupili. Następnego bowiem dnia napadli na członków ekspedycyi krajowcy, widocznie obrażeni, i po zaciekłym boju wymordowali ich wszystkich.

Wiadomości ekonomiczne i gospodarskie.

*** Pług do głębokiej orki. W dniu 9. b. m. na polach folwarku Rakowca, pod Warszawą, odbyła się próba pługa do głębokiej orki, pomysłu pana Oszmiańca, niegdyś fabrykanta fortepianów w Pińsku. P. Oszmianiec, którego instrumenta pozyskały sobie zasłużoną sławę, widząc, iż wobec rozwoju środków komunikacyi, z trudnością przyjdzie mu współzawodniczyć z wyrobami fabryk paryskich i wiedeńskich, postanowił przejść na inne pole działalności i wybór jego padł na gałęź narzędzi rolniczych, w powszechnem użyciu będących, ale pomimo to, albo może właśnie dla tego, pozostawiających wiele do życzenia zarówno pod względem teoretycznym jak i praktycznym; mowa tu szczególnie o pługu, jako o narzędziu stanowiącem podstawę najelementarniejszych pojęć o uprawie roli, będącem przedmiotem tylu badań i usiłowań skierowanych ku możebnym ulepszeniom, tego niejako symbolu rolnictwa. Wsparty doświadczeniem poprzedników swoich, p. O. wyrzekł się myśli zbudowania pługa, mającego odpowiadać zawsze i wszędzie wszelkim wymaganiom praktyki. Chodziło mu raczej o pług, któryby w danych warunkach, mianowicie przy glebie czarno-ziemnej, właściwej guberniom południowo-zachodnim, to jest: Wołyńskiej, Podolskiej i Kijowskiej, zdołał zadowolnić żądania tamecznych rolników pod względem dokładności orki, przy równoczesnej oszczędności siły sprzężajnej i ręcznej, stanowiącej tak ważną rubrykę w ogólnym budżecie gospodarstwa. Sądząc z rezultatu odbytej próby, zadanie p. Oszmiańca zostało w zupełności rozwiązane. Przeszło 250 pługów jego konstrukcyi funkcyonuje już z zadowoleniem rolników, w guberniach południowo-zachodnich, rugując coraz bardziej z użycia, nietylko odwieczne miejscowe pługi o drewnianej, niemal pod kątem prostym do lemiesza ustawionej, odkładni, ale nawet pługi pochodzące z fabryk cieszących się w Europie zasłużonem uznaniem. Próba obecna przedsięwzięta była w celu obznajomienia fabrykantów maszyn rolniczych, rolników obecnych w Warszawie i przedstawicieli prasy z zaletami nowego pługa i stosunku porównawczego jego działania, do pługa przeznaczonego do roboty w podobnych warunkach, pochodzącego ze słynnej fabryki w Plagwitz pod Lipskiem, konstrukcyi znanego na polu techniki gospodarczej Roberta Sack'a. Porównawcze doświadczenie stanowczo wypadło na korzyść pługa pana Oszmiańca. Próby odbywały się: 1) na rżysku jarzynnem, z zaprzęgiem dwukonnym, na głębokość 5 cali; 2) na rżysku żytniem, na głębokość 8 cali; 3) na takiemże rżysku, na głębokość 12, wyraźnie dwunastu cali, z zaprzęgiem 4-konnym.

W każdej z tych prób, pług p Oszmiańca spełniał zadanie nie pozostawiające nic do życzenia, tak pod względem łatwego zagłębiania się w ziemię, jako też należytego kruszenia skiby i prawidłowego jej odkładania, nie męcząc przytem siły pociągowej. O ilości zużytej siły pociągowej mogłyby orzec tylko dokładnie odbyte próby dynamometryczne, które na razie nie dały się przeprowadzić. Pług Sack'a, próbowany jednocześnie i w tychże warunkach, działał prawidłowo, lecz ponieważ numer jego odpowiadał tylko maximum zagłębienia do 10 cali, przeto przy większej głębokości, część wierzchnia podjętej skiby przesypywała się przez wierzch odkładnicy, napowrot do bruzdy. Przytem zauważyliśmy, iż pług Sack'a, jako piątrowy, a więc posiadający dwa lemiesze i dwie odkładnice, to jest dwa ustroje pługa, górny i dolny, znacznie większej wymagał siły pociągowej.

Najważniejszą częścią ustroju pługa jest odkładnica; w pługu Sack'a zbliża się ona kształtem do odkładnic właściwych ruchadłom; jest krótka i nagle w górę zadana, a listwa żelazna stanowiąca jej przedłużenie, służy do dalszego odpychania na prawo i zupełnego odwrócenia podjętej skiby, w pługu p. Oszmiańca, odkładnica jest nierównie dłuższa, lecz nie ma kształtu śrubowato wygiętej płaszczyzny, właściwej długim angielskim odkładnicom.

Praktyczne doświadczenia w glebie czarnoziemnej, gdzie lepka ziemia lgnie do śrubowatych angielskich odkładnic i wraz z niemi przenoszoną bywa aż do końca staisk, ciężąc niepotrzebnie na ustroju pługa i przeto przysparzając narzędziu ciężaru, a sile pociągowej zbytecznej a niepotrzebnej pracy, skłoniły p. Oszmiańca do nadania odkładnicy swego pługa odrębnego, wydłużonego kształtu, o lekkiem śrubowem zagięciu, z dodatkiem u spodu ruchomego skrzydła, które w miarę głębokości orki, może się dowolnie zniżać lub podnosić.

Pług Sack'a jest cały zbudowany z żelaza. Pług p. Oszmiańca ma grządziel i czepigi drewniane; wszystkie zaś robocze części tego pługa wyrobione są z żelaza kutego, ważne ulepszenie, mogące być należycie ocenione w miejscowościach zbyt oddalonych od punktów zostających w bezpośredniej komunikacyi z ogniskami przemysłowemi i fabrycznemi, dla których przeto reparacya na miejscu zużytych lub zepsutych części narzędzi, wskutek miejscowych warunków jest konieczną; zastąpienie ich zaś nowemi, wprost z fabryki pochodzącemi, przedstawia trudności stawiane przez czas i przestrzeń.

W celu niepominięcia wszystkich szczegółów mających określić znaczenie nowo próbowanego narzędzia, nie możemy zamilczeć o jednej ujemnej pod względem teoretycznym stronie pługa p Oszmiańca, a tą jest, iż grządziel jego pługa spoczywa na przodku czyli buszce, mającej dwa kółka o nierównej średnicy osadzonych na wspólnej osi. Wiadomo, iż w takim przypadku koła w swym postępowym ruchu nie idą w linii prostej lecz muszą zakreślać linię krzywą, podobną do drogi, jakąby odbywał ostrokrąg w ruch wprawiony. Pewna więc część siły pociągowej, z konieczności musi być zużytą na ciągłe przywracanie właściwego kierunku pociągu, co się zresztą daje dostrzedz przez potrącanie koła większego idącego bruzdą o pionową ścianę wyoranej bruzdy. Zresztą małe znaczenie tej wady teoretycznej uwydatnia się tem, iż pług raz ustawiony i w ruch puszczony, obchodzi się zupełnie bez pomocy oracza, który nie potrzebuje nawet dotykać czepig w czasie działania pługa, a całą swoją uwagę poświęcić może baczeniu na chód koni lub wołów. Pług więc p. Oszmiańca jest istnym samochodem, w całem znaczeniu tego wyrazu. Cena też jego. w porównaniu z wyżej przytoczonym pługiem Sack'a, będącym dotychczas ostatnim wyrazem ulepszeń w budowie pługów w tym kierunku, jest znacznie niższą. Pług taki w obecnym swym stanie kosztuje 28 rubli. P. Oszmianiec nie wątpi, iż przy należytym rozwoju swej fabryki, będzie mógł obniżyć tę cenę do 20 rubli za sztukę.

Zgromadzeni na próbie rolnicy, przedstawiciele firm fabryk i składów narzędzi rolniczych i prasy, na wniosek p. Gustawa Gebethner'a umyślili jeszcze w tej jesieni, korzystając z pięknej pory, urządzić konkurs pługów rozmaitych systemów, nie później jak w dniu 19 Października, jeśli pogoda posłuży, ku czemu p. Wł. Gradenwitz, dzierżawca Rakowca, pola dzierżawionego przez siebie folwarku ofiarował. Komitet, mający oznaczyć warunki konkursowej próby ma się składać z panów: Barona Zygmunta Dangla, właściciela dóbr Głosków, p. Władysława Gradenwitz, dzierżawcy folwarku Rakowca, i p. Leona Sygietyńskiego, dotychczasowego wydawcy „Tygodnika Rolniczego." Nie wątpimy, iż jeśli pogoda posłuży, a ciekawy ten zewszechmiar konkurs przyjdzie do skutku, to obecni w Warszawie rolnicy i przedstawiciele prasy zechcą być na nim obecnymi, pamiętając na aforyzm rolniczy: „Pokaż mi twój pług, a powiem ci jakim jesteś rolnikiem."

ROZMAITOŚCI.

*** Znany geograf Petermann zakończył niedawno życie samobójstwem. Jaskrawy ten fakt objaśniają zagraniczne dzienniki w sposób następujący: Pomiędzy jego małżonką (z którą się był kilka miesięcy temu ożenił) a córkami z pierwszego ślubu miały miejsce nieporozumienia; uczony zatem nie mogąc znieść zgryzot życia domowego, powiesił się w przystępie rozpaczy. Samobójstwo jednakże było, niezależnie od okolizzności, dziedzicznem wianem Patermanna; dziad jego bowiem, ojciec i brat w podobny sposób odebrali sobie życie. Znakomity geograf liczył w chwili zgonu lat 56.

*** Małpy są sławne z naśladownictwa. Pewien lekarz o mało co nie miał bolesnego dowodu rzeczonych zdolności na sobie. Był on w posiadaniu wielkiej małpy, łagodnej natury i wielkiego rozumu, która zwykle mu asystowała przy robotach w prosektoryum. Razu pewnego czując ona widocznie, że już jest usposobioną do podjęcia tych czynności na własną rękę, przewróciła pana swego na stół i porwawszy nóż, chciała na nim odbyć wiwisekcyą. Studenci obecni temu, zaledwie uratowali bladego jak trup doktora.

*** Znany członek „towarzystwa popierającego żeglugę morską w Rosyi", M. K. Sidorow pszysłał do redakcyi dziennika „Ruskaja Prawda" list, w którym między innemi znajdujemy następną, godną powtórzenia wzmiankę: „Na dnie rzeki Angary, w odległości 100 wiorst od jej ujścia, nie opodal wsi Motyginy, zanaleziono samorodek złota ważący 147 funtów. Podobnej wielkości, naturalna bryła tego szlachetnego metalu jest pierwszym w Rosyi, jeśli nie w całym świecie, okazem".

*** W izraelickich kołach w Paryżu zapanowało dość silne wzburzenie. Znany giełdzista Ozyris Iffla wybudował własnym kosztem synagogę, na ulicy Buffault, żądając zezwolenia aby na jednem z miejsc figurowało imię pani Ozyris, małżonki fundatora, która, dodać należy, jest chrześcijanką. Gmina i konsystorz na to zgodzić się nie chcą. Prócz tego ofiarodawca zaproponował, aby w pobliżu arki umieszczono tablicę marmurową z nazwiskami pewnej liczby wsławionych talentami żydów. Projekt ten znaczne wywołał zgorszenie, ponieważ wielu z owych żydów albo nieodznacza się odpowiednią pobożnością, albo też przeszli na łono chrześcianizmu. Nazwiska takie jak Spinoza, Henryk Heine, Meyerbeer wywołały oburzenie w kołach pobożnych Francuzów żydowskiego wyznania, którzy też postanowili niezwłocznie usunąć nazwiska owe ze świątyni poświęconej chwale Jehowy.

*** Dr. Trousseau był bardzo poszukiwany i dodrze płacony, ale cóż kiedy grosz u niego przelewał się jak przez sito, a doktor siedział w długach po uszy.

W roku 1857 leczył nader starannie jedną z wielkich pań z ulicy św. Honoryusza. Kiedy już chora czuła się lepiej, przyszedł złożyć jej wizytę . cokolwiek interesowną. Dama przepełniona wdzięcznością wyhaftowała mu własnemi rękami śliczną sakiewkę, na której złotemi literami jaśniało imię doktora. Kiedy wszedł, pokazała mu sakiewkę, chcąc mu zrobić naprzód już przyjemność.

— Sakiewka? Ischmanek — zawołał doktor tonem surowym — tak, prawdę powiedziawszy, przyznam się pani, że wolę ja zawsze 2.000 franków.

— Dwa tysiące franków! — odrzekła dama urażona. — Bardzo dobrze.

I to mówiąc otworzyła sakiewkę zawierającą 6.000 franków, a wyciągnąwszy z niej dwa, wręczyła je doktorowi.

— Widzisz pan — rzekła ironicznie — tracisz 4.000 franków i ładną sakiewkę.

* * *

Hahneman, wynalazca homeopatyi, lecząc bankiera niezmiernie maleńkiemi dozami, dawał mu tylko do przytknięcia do nosa flakonik z akonitem. Kiedy przyszło do zapłacenia honoraryum, bankier wziąwszy jedną sztukę złota, przytknął ją do nosa swego doktora.

— Powąchałeś doktorze? A więc kwita z nami. Swoją drogą posłał mu 100 luidorów,

---

RABUNEK.

Komuż nie jest znaną słynna teorya angielskiego ekonomisty Malthus'a, której treścią jest twierdzenie, iż ponieważ ludność kuli ziemskiej zwiększa się w stosunku geometrycznym, środki zaś do wyżywienia tej ludności służące, mogą się zaledwie pomnażać w stosunku arytme-

tycznym, przeto ludzkość cała, nieuchronnie, chociaż może jeszcze w bardzo odległej przyszłości, skazaną zostanie na zagładę. Jakkolwiek twórca owej ponurej teorji, nie uwzględnił przyczyn tamujących wzrost ludności w swym przypuszczalnie prawidłowym stosunku, i nagłe jej zmniejszenie się, wskutek panujących epidemii, śmiertelności w niemowlęcym i dziecinnym wieku, które to przyczyny każą wierzyć, iż zarówno prawa wzrostu ludności jak i powiększenia środków jej wyżywienia utrzymać się zdołają w ogólnej równowadze, a olbrzymi rozwój środków komunikacyi i porozumiewania się, o jakim za czasów Malthus'a ani marzyć nie śmiano, ulatwi mieszkańcom ziemi wyjście z trudnego położenia, w jakiem ich warunki kultury, cywilizacyi i klimatu częściowo postawić mogą, to przecież ponure wnioski angielskiego ekonomisty nie pozostają i dotąd być dla wielu owym mieczem Damoklesa mającym nieubłaganie zawisnąć nad głowami naszych pra-pra-prawnuków. Między innemi, genialny twórca teoryi mineralnej, Justus baron Liebig, stawiąc jako niezwzruszony obowiązek względem przyszłych pokoleń, zachowanie bezwzględne prawa całkowitego zwrotu prawie toż samo powtarza. Jakkolwiek dowodzenia Liebig'a opierające się jedynie na zasadach z nauk przyrodniczych zaczerpniętych, zupełnie są z logiką zgodne, to przecież ze stanowiska ekonomicznego, krytyki wytrzymać nie są w stanie. Genialny niemiecki chemik nie wahał się napiętnować mianem rabusia każdego postępowego gospodarza, który w troskliwie przez siebie obmyślanym i ułożonym płodozmianie, w racyonalnej hodowli bydła, w umiejętnem korzystaniu z ich produktów podniesionych do maksimum zapomocą rozległej uprawy roślin pastewnych i okopowych, doprowadził posiadłość swoją do najwyższej intratności i chlubi się wysokim czystym zyskiem jaki z niej odnosi.

Lecz nieubłagana logika cyfr mówi mu: „napróżno! wszystkie starania twoje skierowane są jedynie ku temu, aby zamydlić oczy nieoświeconemu tłumowi. Corocznie w ziarnach zbożowych i roślin olejnych, w mleku, serze, mięsie, wełnie i t. p. produktach wywozisz, przypuszczalnie biorąc, 1000 części żyzności twych gruntów; w nawozie stajennym, w małej ilości dokupionych fosforanów, guana, saletry chilijskiej, soli stassfurtskiej i t. p. surrogatów nawozowych wracasz roli tylko 900 części: ubożysz ją zatem rokrocznie o sto części siły pożywnej, co prędziej lub później, w łat dziesięć lub dziesięć tysięcy stosownie do tego czy rola twoja zawiera tysiąc czy milion części materyj pożywnych do bujnego wzrostu uprawianych roślin potrzebnych, doprowadzić musi następne pokolenia do bankructwa, dzięki twemu nieoględnemu postępowaniu i hołdowaniu zasadom rabunku, który równie jak ty ciemni agronomowie mianem *nauki rolnictwa* ochrzcili. Zwróť i raz jeszcze zwrót zupełny materyj pożywnych zabranych z gruntu w plonach jest zasadą rolnictwa!" Nic byśmy nie śmieli powiedzieć przeciwko tej zasadzie, gdyby zastosowanie jej w praktyce było możliwe; gdyby nauka rolnictwa istniała dla nauki, a nie dla potrzeb ludzkości; gdyby możliwa najwyższa produkcya, nie zaś możliwie najwyższy czysty zysk, była celem rolnika. Lecz ponieważ rzecz się ma przeciwnie, przeto zobaczmy, czy rolnik jest wstanie, nie narażając się na straty, lecz owszem z nadzieją zysku, zadość uczynić wymaganiom prawa zwrotu. Ponieważ sam już obrachował, że część tylko materyj pożywnych zawartych w słomie i sianie z pól jego i łąk sprzątniętych powraca do ziemi jako nawóz, druga zaś część wyprowadzoną jest niepowrotnie po za obręb gospodarstwa, pragnąłby zatem ubytek ten wynagrodzić przez zakupno stosownych surrogatów nawozowych o ile to się da *z korzyścią* uskutecznić. Nie kupi więc guana, bo to jest zbyt drogie i w dodatku fałszowane, nie kupi mąki kostnej, surowej lub preparowanej, bo ceny jej są wysokie, gdyż kości spotrzebowane zostaną przez cukrownie, które są w stanie drożej je zapłacić. Nie sprowadzi soli potażowych z Kałusza lub Stassfurtu, gdyż koszta odległego transportu pochłonęłyby wszystkie korzyści, jakichby z ich użycia mógł się spodziewać. Zawaha się nawet nad kupnem nawozowych fosforytów ze środkowej Rossyi, lub okolic naddniestrzańskich, lub też gipsu z kopalń krajowych, zawsze ze względu na koszta transportu. W rezultacie pozostanie przy dawnym sposobie gospodarowania, który przy zastosowaniu ulepszeń w granicach przez ekonomiczne warunki wskazanych, zapewni mu zadowalniające plony dające zysk czysty, a więc odpowiednie odsetki od kapitału zakładowego, obrotowego i nakładowego kapitału. Praojcowie nasi, karczując rozległe lasy, nie troszczyli się wcale o to, co się z ich potomkami, po upływie kilkunastu wieków stanie. Martwy kapitał złożony w postaci głębokich pokładów czarnoziemu w południowych guberniach Rossyi w skutek rabunkowej (według zdania Liebig'a) uprawy, zamienił się na wspaniałe gmachy, sklepy, banki, teatra, szkoły, świątynie, ludnej i bogatej Odessy; czy więc ten kapitał został zmarnowanym, czy też produkcyjnie użytym? na to pytanie każdy da z góry przewidzianą odpowiedź, z wyjątkiem może jakiegoś nasiąkłego sobkowstwem domatora, który w duchu będzie złorzeczyć ojcom, iż dzięki ich rabunkowemu gospodarstwu dzisiaj nie może już wyrzucać gnoju na groble lub w głąb jarów, ale musi jąć się wywożenia go na pole albo też pogłębić orkę w celu otrzymania takich plonów jakie ojcowie bez trudu zbierali. Możemy wcale się nie troszczyć dzisiaj czem się ludność ziemi za kilkadziesiąt wieków żywić będzie, podobnie jak fabrykant z Birmingham lub Manchester nie troszczy się o to co nastąpi, gdy kopalnie węgla w Anglii i w innych krajach się wyczerpią, albo w co się obróci miedzynarodowy rynek pieniężny, gdy kopalnie złota Kalifornii, Australii i Syberyi wydajnemi być przestaną. Wzrok rolnika tak daleko sięgać nie może; musi on w działaniach swoich ograniczać się krótszymi okresami czasu i stosować się do przeważających w nich warunków. Jak więc z jednej strony przesadzona trwoga o zupełne ogólne wypłonienie ziemi, w skutek niemożności zadosyćuczynienia prawu zwrotu jest zbyteczną, tak znowu zbyt pochopne wyzyskiwanie przyrodzonych lub przez poprzednią uprawę nabytych sił ziemi z drugiej strony, jako dające się ująć ze wszystkimi swymi skutkami pod sąd i ocenę już nietylko jednego pokolenia, lecz nawet w ciągu okresu życia pojedynczej jednostki, stanowi właśnie to rabunkowe gospodarstwo, którego naganę usłyszymy z ust nietylko wykwalifikowanego agronoma, ale nawet ciemnego prostaczka.

Na nieszczęście, widzimy zbyt często system ten zastosowywany przez ściśniętych zbyt uciążliwymi warunkami albo raczej zbyt wysoką roczną opłatą, dzierżawców krótkoterminowych, kiedy to nietylko ziarno, lecz i siano, i słoma, i plewy, stają się towarem targowym, często, wskutek słabego popytu, marnowanym za bajecznie nizkie ceny. Tyle już mówiono i pisano o ogólnem rabunkowem gospodarstwie w lasach, opłakane skutki takiego postępowania dzisiaj już namacalnie wykazać się dają, a „vox clamantis in deserto" głosy całej prasy, rozprawy kongresów leśnych dotąd napróżno nawołują o baczność, o zatrzymanie się na zgubnej drodze wiodącej do ostatecznej zagłady całego kraju i zamienienia go w pustynię pod wpływem nieuchronnych zmian klimatycznych będących naturalnym skutkiem rabowania lasów. Przypatrzmy się, wołają te głosy, co się stało z Dalmacyą, Czarnogórzem, krajami Karstu, gdzie swego czasu rzeczpospolita wenecka, w lasach gospodarzyła; jakie straszne skutki sprowadzają wylewy rzek we Francyi, jako następstwo wycięcia ochronnych lasów na stokach gór.

Nie podobna jednak aby fakta tak często powtarzające się i wywołujące tak ostrą naganę, tak wymowne głosy ostrzegające, nie miały pewnej przyczyny, której przeważna siła każe zamilknąć gospodarskiemu że tak powiem sumieniu. Prawda, ciężkim jest przeciwko prawidłom nauki gospodarskiej i obowiązkom obywatelskim, niszczenie lasów, tych naturalnych a niczem zastąpić się niedających regulatorów zasobu wilgoci, kierunku i siły wiatrów i innych atmosferycznych czynników przeważnie na klimat miejscowy wpływających. Ale żelazna konieczność — potrzeba grosza na dziś — w braku kredytu, gdyż wszelki już prawidłowy kredyt wyczerpanym został, zmusza nieszczęśliwego posiadacza ziemi, do chwycenia się tego, podług niego ostatecznego środka. Lecz przez łatwe zresztą do pojęcia uczucie, wstydzi się on sam osobiście przyłożyć rekę do tego dzieła zniszczenia.

Za marny więc grosz ofiarowany przez rzekomego kapitalistę, który go sam wysokim procentem opłacił, oddaje do eksploatowania żyzność swej ziemi lub lasy swoje za bezcen. Kapitał więc zostaje bezpowrotnie stracony; nie otrzymawszy i połowy wartości tego, czego się wyrzekł, nie zdołał opędzić naglących swych potrzeb, i zubożył się o całą wartość wydzierżawionych kilkoletnich sprzętów i włożonych w ziemię długoletnich nakładów, lub pozbył się kapitału, na który może półtora wieku się składało. Nabywca osiągając z ryczałtowego takiego przedsiębiorstwa wysokie zyski, nie korzysta z nich jednakże w zupełności, gdyż musi za nie opłacić haracz w postaci lichwy. Ostatecznie więc bogaci się tu lichwiarz, i zaprawiwszy się na łatwej zdobyczy, chciwie czyha na nową ofiarę.

„Una salus victis nullam sperare salutem". Gdyby gospodarz znajdujący się w tak przykrem położeniu, powiedział sobie, że dla utrzymania kawałka rodzinnej ziemi nie widzi innego sposobu, jak jąć się rabunkowego sposobu gospodarowania, ale na własną, nie zaś chciwego spekulanta korzyść, gdyby nagromadzoną w łonie swej ziemi za pomyślniejszych czasów żyzność uważał jako kapitał w kassie oszczędności złożony, gdyby tak samo, co jeszcze byłoby racyonalniej, zapatrywał się na wartość swego lasu, i tę w danej chwili zrealizował za cenę zbliżającą się do rzeczywistej jego wartości, moglibyśmy ubolewać nad koniecznością, która go zmusiła do chwycenia się tej ostateczności, ale musielibyśmy przyznać mu słuszność. Z dwojga złego wybierając mniejsze, lepiej mieć zero, niż wielkość ujemną. Tak jak rola musi posiadać ogromny zapas materyj pożywnych dla roślin, aby mogła wydać nam plon zawierający zaledwie drobną ich cząstkę, tak samo gospodarstwo, aby mogło przynosić stały chociaż niewielki procent, musi pochłonąć znaczne kapitały tkwiące w budowlach, ogrodzeniach, rowach, inwentarzach żywych i martwych i t. d. Las kapitalizuje się przez coroczny przyrost, stanowiący niski wprawdzie ale składany procent. Kto nie może poprzestać na takim powolnym wzroście zasobu martwego kapitału, będąc tymczasem zmuszony do opłacania wysokich odsetków od ciążących na jego majętności długów, nie powinien wahać się w wyborze. Wprawdzie wyjałowienia przez rabunkową uprawę ziemia, nie prędko zdoła odzyskać utraconą żyzność. Zadrzewienie ogołoconych z lasu przestrzeni, zaledwie wnukom i prawnukom korzyść przyniesie; ale nie będąc już obarczony długami, gospodarz, zdoła acz z mozołem, zapomocą oszczędności, po długim lat szeregu zdobyć się na środki do podźwignięcia swego gospodarstwa; obce mu będą niecne matactwa, których widownią niestety! tak często bywają przymusowe sprzedaże w celu tak zwanego: „oczyszczenia hypoteki", gdzie zbyt ufni wierzyciele padają ofiarą nieraz życzliwości swojej dla znajdującego się w kłopotliwem położeniu dłużnika. A jeśli siły się jego przedwcześnie wyczerpią w tej walce i śmierć go zaskoczy, wtedy umierając, zostawi przynajmniej dzieciom w spuściźnie nieskalane imię i będzie mógł o sobie powiedzieć jak Franciszek I pod Pavią: „tout est perdu, hors l'honneur!" Nie można nadto wypowiedzieć w tej materyi. Nazbyt wiele widzimy przykładów jak „malesuada fames" po zgubnej pochyłości prowadzi wielu z nas do najsmutniejszego rabunku największych skarbów w tradycyjnej spuściźnie otrzymanych: poszanowania danego słowa, dobrej wiary i niezachwianej uczciwości.

Od Redakcyi.

P. **Chryzostomowi G.** adres Towarzystwa chowu królików: w Brodach.

W. Pan K. B. w Ostrowie. Na premium był przeznaczony tomik I. Spiewnika i został rozesłany przy Nr. 44.

Treść Nr. 62. str.

Z drukarni A. J. O. Rogosza (Dziennika Polskiego.) Wydawca i odpowiedzialny Redaktor Mikołaj Biernacki.